Rok 3. Kraków, dnia 20 Września 1884 r. Nr. 17 i 18.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 złr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 5·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu I-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu II-go: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Rakuzkiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674 — 1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10.50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaź i Książę. Kraków 1876. — 60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, treściwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozłowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 złr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12 złr. zniż. na 6·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 złr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 zlr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrkłowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hoflmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłómaczył z 5 wydania niemieckiego L. Masłowski. Kraków 1875 cena zł. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski - więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszalek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnienie do Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psałterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tłomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— toż samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —.20

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— toż samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25
Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—
Łoziński W. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80
Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50
Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zł. 20 ct. zniżona na—·60
Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50
Niemcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25
Nowelle. Zbrór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50
Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50
Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— toż samo w oprawie 1·20
Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75
Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— toż samo w eleganckiej oprawie 1·—
Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60
Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882—·60
— toż samo w oprawie —.60
Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)
Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75
Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rycinami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·50
Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—
Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882.—·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4·—
— toż samo oprawne w płótno angielskie 6·—
Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20
Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30
Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50
Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50
Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastosowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższyh szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—
Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·80
Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15
Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—
Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20
Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— toż samo w oprawie 1·20

KATALOG
WAŻNIEJSZYCH PISM POLSKICH

na które prenumeratę przyjmuje księgarnia

K. Bartoszewicza.

Tytuł pisma	Prenumerata w Krakowie						z przesyłką w całem państwie austryackiem					
	kwartalnie		półrocznie		rocznie		kwartalnie		półrocznie		rocznie	
	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.
Ateneum	—		10		20	—	—	—	10	60	21	20
Biblioteka najc. utworów	2	—	4	—	8	—	2	15	4	30	8	60
„ warszawska		—	7	50	15	—	—	—	8	10	16	20
Biesiada literacka	2	—	4	—	8	—	2	30	4	60	9	20
„ „ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	3	—	6	—	12	—
Bluszcz	2	75	5	50	11	—	3	50	7	—	14	—
„ z dod. mód kolor.	4	75	9	50	19	—	5	40	10	80	21	60
Echo muzyczne	2	50	5		10	—	3	15	6	30	12	60
Gazeta lekarska	—	—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
„ rolnicza	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Gospodyni wiejska	2	50	5		10	—	2	80	5	60	11	20
Kłosy	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ z Bibl. najc utworów	5	30	10	60	21	20	6	30	12	60	25	30
Kolce	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Kronika rodzinna	1	65	3	30	6	60	—	—	4	—	8	—
Medycyna		—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
Mucha	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Niwa	3	—	6		12	—	3	30	6	60	13	20
Ogrodnik		—	5	—	10	—	—	—	5	70	11	40
Przegląd katolicki	2	10	4	20	8	40	2	40	4	80	9	60
„ lekarski	2		4	—	8	—	2	20	4	40	8	80
„ lwowski	2	60	5	—	10	—	—	—	—	—	—	—
„ polski	4	—	8	—	16	—	—	—	—	—	—	—
„ techniczny	—		6	65	13	30	—	—	7	—	14	—
Przewodnik bibliograficzny	—	28	—	50	1	—	—	34	—	62	1	24
„ nauk i literacki	1	25	2	50	5	—	—	—	—	—	—	—
Przyjaciel dzieci	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Przyroda i przemysł	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Tygodnik illustrowany	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ powszechny	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ rolniczy	2	—	4		8	—	2	75	5	50	11	—
„ romansów i powieści	1	40	2	80	5	60	1	60	3	20	6	40
„ „ z Bil. naj. utw.	3	40	6	80	15	80	4	—	8	—	16	—
Wędrowiec	2	—	4	—	8	—	2	25	4	50	9	—
„ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	2	90	5	80	11	60
Wieczory rodzinne	1	65	3	30	6	60	1	90	3	80	7	60

Księgarnia przyjmuje prenumeratę i na wszystkie inne czasopisma polskie i obce, z wyjątkiem pism codziennych.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Jan Blaschke.

W drukarni A. Koziańskiego.

Rok III. Kraków, dnia 20 Września 1884 r. Nr. 17. i 18

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

SZEWC.

Dzień coraz krótszy, o pracę niełatwo,
Idzie robota, ot tak — byle prędzej,
Byle dzień przeżyć nie zaznawszy nędzy,
Z żoną i dziatwą.

Zima za pasem. Z chłodu ręce skrzepły,
Gdy na poranku siadł dziś przy warsztacie
I nie starczyło już dziś strawy ciepłej
Dla wszystkich w chacie.

Na kredyt dostał nieco nafty wczora,
A dziś już w lampie ledwie odrobina —
Że się z robotą na czas nie upora
Czyż jego wina?

Wie, że w tym bucie, co mu łatać dano
Są dwa dni życia, żony, trojga dzieci,
A musi czekać aż słońce zaświeci,
Do jutra rano!

Dzień coraz krótszy, zarobek niełatwy,
Nieraz rok czekać aż wszystko wypłacą,
A tu tymczasem niema kupić za co
Skóry i dratwy...

Lokaj hrabiego — to ma lekką pracę! —
Od dwóch kwartałów winien mu trzy złote,
Ale rzekł: „Przyjdźcie znowu wziąć robotę,
To wam zapłacę“

Lokaj hrabiego, kundman to nielada,
Nachodzić trudno takiego człowieka!
Grosz mu co chwila do kieszeni spada,
A szewc — niech czeka.

Ha! może... kto wie! gdyby tak— przez stróża
Wyprosić grzecznie z salonu?.. na schody...
Możeby oddał?.. grosza ma jak wody...
Summa nie duża!..

Zerwał się — wybiegł — nic nie rzekł nikomu.
„Tatuś!..“ gdzieś w kącie zapłakało dziecię.
„Sza! — rzekła matka — powróci do domu
I jeść będziecie...“

Powoli izbę zmrok napełnił całą
I było w kątach coraz straszniej, czarniej...
Z ulicy w okno odblaskiem padało
Światło latarni.

A on nie wracał... Z tapczana się zwlekła
I stała w oknie płacząc — z zimna drżąca...
Pieniędzy!.. Boże!.. Matko Wszechmogąca!
Dość tego piekła!..

Pieniędzy!... setną część tych, które tracą
Ludzie, co nigdy nie zaznali nędzy!
Nie chcecie groszem, to wesprzyjcie pracą,
Co da — pieniędzy!..

Nagle rzuciła się ku drzwiom. Po chwili
Wszedł szewc—i milcząc siadł. Z niemem pytaniem
Żona i dzieci oczy weń wlepili:
Czy jeść dostaniem?

„I cóż? — szepnęła żona... „Nie leź w ślepie,
Babo!“ — mąż krzyknął, porwał na warsztacie
Kij porzucony: „Milcz, bo cię poklepię!...
Na — oto macie!..

I cisnął do nóg przelękłej kobiecie
Książeczkę zmiętą, dobytą z kieszeni, —
Jedną z tych, które dla głupich piszecie,
Ludzie uczeni.

„Masz, czytaj! Zarwał mnie lokaj hrabiego,
Porzucił służbę, przepadł gdzieś i basta!...
W bramie mnie spotkał hrabia—wracał z miasta—
Więc ja do niego:

Opowiedziałem jak, co, jaka bieda,
Że zginąć chyba przyjdzie najmizerniéj —
A on wciąż: „Tak, tak! wyście łatwowierni...
Nikt rady nie da...“

„Czytacie?“ — rzecze raptem po namyśle.
„Czytam!“ —ja na to... „A! gdy się nie mylę,
Mam ja coś dla was — zaczekajcie chwilę,
Zaraz wam przyślę.“

I znikł na schodach. Czekałem — i oto
Lokaj... tę książkę wyniósł mi do bramy...
Na, masz! — do jutra z głodu pozdychamy,
Spiesz się z robotą!

Na, masz!—do kroćset!—czegoż jeszcze trzeba?
Wsparł nas pan, co się miłosierdziem szczyci.
Daj książkę dzieciom, niechaj ich nasyci,
Gdy wrzasną: Chleba!..“

Zamilkł — i straszna była w izbie całej
Cisza, jak kiedy życie zkąd uleci...
W kącie gdzieś tylko trwożliwie chlipały
Zgłodniałe dzieci.

Czesław.

SĄSIEDZKIE POCIECHY.

OBRAZEK

przez *Autora Kłopotów Starego Komendanta.*

W skromnie umeblowanym saloniku pana kassjera powiatowego zupełny nieład: po krzesłach, stołach, kanapie i oknach rozrzucone suknie, filiżanki, flaszeczki, rądelki i t. p. sprzęty, których zwyczajne miejsce w kuchni, szafach lub garderobie. Coś zaszło w tym domu, uchodzącym za wzór w miasteczku, albowiem młoda pani kassjerowa przed miesiącem przyjechawszy z Warszawy, urządziła swoje mieszkanko z całą elegancją i gustem, na jakie skromna jej wyprawa i szczupłe fundusze mężowskie wystarczały. Ale otóż i ona! Fe! nieładnie tak moja piękna pani zaglądać dziurką od klucza do drugiego pokoju i podsłuchiwać z ciekawością co też pan mąż porabia! Coraz lepiéj, coraz lepiej; ba, otóż i płacze kassjerowa, ale jak płacze i odkąd płacze? Nosek calutki różowy, oczy krwią zaszły, buzia blada jak niekrochmalona bielizna; a szkoda tej twarzyczki bo ładna, dalibóg ładna, jakby aniołek jaki; zwłaszcza iż przy takich jasnych kędziorkach włosów i niebieskich oczkach, z swoją dziecinną prawie prostotą w ruchach, spojrzeniu i myśli — ot skrzydełka przypiąć i na obrazek.

Ktoś poruszył klamką od sieni, kassjerowa się zerwała.

— Leosiu, Leosiu moja kochana, jakże się ma?

— Usnął trochę — zdaje mi się lepiej proszę pani.

— Oj ten doktor, ten doktor — mój Boże jedyny! — rzecze załamując ręce — jakże też nie przychodzi. Przebrzydłe miasto z jednym doktorem, pojechał i czekaj, a tu biedny Antolek cierpi... Masz przyjemności prowincji... Leosiu! — woła za odchodzącą — kataplazm niech będzie gotowy, albo nie, czekaj, ja sama pójdę, sama mu położę...

— Oj co na to, to nie pozwolę proszę pani — doktor powiedział, żeby pani nie dać chodzić do chorego, to nie dam...

— Tyran, głupiec! — krzyknęła z gniewem po odejściu służącej. On pewno już bez żadnej nadziei, umyślnie mię nie puszczają!

I po tych słowach rzuciła się na kanapę, zakrywając twarz obu rękami, z pomiędzy których łzy jak ziarnka grochu staczały się na suknię młodej kobiety... Nie mogła biedna jej wyobraźnia pojąć, żeby ten, którego od lat tylu kochając, a którego przed miesiącem dopiero mężem swoim nazwała, ten dobry, piękny i rozumny Antolek, miał umrzeć, ulecieć w górne krainy, zkąd wspomnienie nawet powrócić niezdolne. W główce jej jako w kotle gotowało się wszystko, burzyło, przewracało, a serce kołatało w piersi, a dreszcze przeszywały całą wątłą już z natury istotę.

— Ach duszko moja, Juleczko kochana! — krzyknie ktoś wpadając w tej chwili do pokoju kassjerowej — jakaś ty nieszczęśliwa, jakaś ty biedna moja duszko!

Płacząca odjęła ręce od oczu, a pani Klotylda odrazu rzuca się w jej objęcia, chce płakać, lecz łzy nie zawsze chęci słuchają, więc trze oczy chustką jak może.

— Ależ pani, przez litość, ciszej — on zasnął!..

— Zasnął moja duszyczko, zasnął; dobrześ powiedziała. No, ależ uspokój się, nie płacz — co pan Bóg dał, to trzeba przyjąć z pokorą i rezygnacją, przecieżeś nie dziecko moja Julciu... No no, nie zanoś się, dostaniesz migreny... Tak samo pamiętam i mój nieboszczyk... ale jakże tu duszno, otwórz kochanko okno — nie fatyguj się, ja otworzę. A zapałki nie masz gdzie?.. zapalę papierosa, powietrze się oczyści... Mój nieboszczyk Symplicyusz tak samo rychtyczek zasnął: ja na sobie miałam wtenczas zieloną atłasową suknię, garnirowaną neżykiem tak raz i tak raz... Dobre to były czasy... Ależ nie rozpaczaj Julko, nie rozpaczaj... Bóg cię pocieszy jeszcze... a zdrowie twoje, zdrowie... No, no moja droga... Doktor mi mówi, trzeba co godzinę dawać mu łyżkę — któż się mógł spodziewać, że tam był jakiś paskudny olejek. Wystaw sobie duszyczko, calutki przód zlałam, ale to od góry do dołu... na nic suknia. I jego nie uratowałam i suknia poszła. Oj dobry to był człowiek; potem co się też napłakałam... Ty się zanosiła Julciu duszyczko... ach mój Boże mdleje... fe, fe, tu czuć piżmo... tak jak i mojemu Symplicyuszowi także w końcu piżmo dawali.

Biednaś ty biedna!“

Znowu się drzwi z lekka otwierają, i maleńka czupurna figurka wciska się do pokoju, ostrożnie drzwi zamykając. W mundurowym wytartym fraku z piórem za sterczącem uchem, staje pan adjunkt przy drzwiach, kręci czapką, kłania się i kłania, a widząc, że kassjerowa zanosi się od płaczu, postępuje zwolna pytając uniżenie;

— Pani dobrodziejko — czy można zobaczyć nieboszczyka.

— Boże ty mój jedyny! Boże zlituj się nademną, on umarł i mnie nie puścili!.. — krzyknęła kobieta, skoczywszy nagle do drzwi mężowskiego pokoju.

— Julciu, duszeczko! — krzyknie jeszcze głośniej przyjaciółka Klotylda i łapie ją w pół...

— Puść mię, puść do niego... ach puśćcie mię na miłość Boską!

— Nie, nie, moja duszko, to ci zaszkodzi! — perswaduje Klotylda trzymając ją z calej siły, a na adjunkta rzucając piorunujące spojrzenie. — Trzeba być mój panie tyranem na to, mężczyzną tylko, mężczyzną ciekawskim, wścibskim, żeby tu nieproszony leźć z taką pociechą...

— Daruj mi pani dobrodziejko—mówi strwożony adjunkt, całując płaczącą po obu rękach; ja nie wiedziałem, że tak panią dobrodziejkę zmartwię; ja tylko przez przychylność do nieboszczyka, zwierzchnika najlepszego... Oj cóż to za słodki był człowiek. W kasie bywało — rozpowiada adjunkt siadając na krześle obok trzymającej w swoich objęciach kassjerową Klotyldy — bywało przyjdzie rano; panie Nosicki masz tabakę... Może pani dobrodziejka pozwoli...

— Fe, fe, schowaj pan dla siebie — odrzeknie z impertynencją Klotylda...

— Tak nagle, tak nagle, mój Boże! anim się spodziewała. Ach, ach moje serce!.. — woła rzucając się na wszystkie strony kassjerowa...

— Gdzie tam pani dobrodziejko nagle, podchwycił adjunkt. Ja pamiętam, nieboszczyk Traczewski ot tutaj z Bolimowa, sędzia pokoju pani dobrodziejko, to grał w karty, zdaje mi się czy w preferansa, czy też w wista.. o nie! prawda, to w preferansa, rzeczywiście pani dobrodziejko w preferansa. Śmiał się, mówi: zadawaj... a on się chyli, chyli i paf jak długi na ziemię, ani krzyknął, ani jęknął i niema...

— O ja nieszczęśliwa! — o ja sierota biedna... Boże mój Boże, nie masz litości nademną! — woła kassjerowa, zanosząc się od płaczu i łkając i jęcząc, że doprawdy serce się krajało, patrząc na taką rozpacz.

— Ale co szczególniejsza pani dobrodziejko — mówi dalej adjunkt, że zawsze grał tak nieszczęśliwie; bywało co rozdadzą karty, to u niego siódemki, ósemki, czasem walet albo dziesiątka — a teraz, as, król, dama, as, król, dama... wszyściutkie asy, króle i damy... No i cóż z tego—dodaje z pewnym uśmiechem—kiedy przegrał... ot jakie to bywa szczęście człowiekowi...

W sieni znów dał się słyszeć głośny szelest, gwałtownie poruszyła się klamka, i niby balon pęknięty wpadła do pokoju otyła, czerwona i zadyszana kobieta.

— Stało się Juleczko, kuzynko moja!.. stało się. — I wyrwawszy z rąk Klotyldy jęczącą kassjerową, pochwyciła ją w tłuściutkie swoje szpony, całując, tuląc i dusząc na wszystkie boki wątłą postać nieszczęśliwej.

— Och moja ciociu kochana, ratuj mię, ratuj, ja bardzo nieszczęśliwa!

— No, no, no kochanko, jedyna pieszczocho, aniołku Julciu, nie rozpaczaj tak, nie płacz dziecko, nie martw się!.. Pan Bóg cię pocieszy. Ja też lecę jak szalona, dziś przyszedł posłaniec, ja lecę, aż tu w mieście powiadają...

Wtem: ach, ach! — wyrwało się z ust pani kassjerowej i bezwładna osuwa się z rąk pocieszycielki ciotuni.

— Wody! wody... panie wody...

— Nie trzeba wody, ja mam *winegr toalet* to lepsze — mówi Klotylda dobywając szybko flakonik...

— Wody! wody — krzyczy ciotunia.

— Ależ to lepsze...

— Dajże pani spokój z swoim winegrem — ja lepiej wiem co lepsze... Zresztą ja jestem krewna...

Odetchnęła kassjerowa, otwarła oczy załzawione, adjunkt uchylił okno, a pani Klotylda nie mogąc darować ciotuni niegrzecznego zaprzeczenia co do lepszości swego octu, rzecze:

— Pani dobrodziejka się myli... mój winegr...

— Przepraszam panią... ale cudzych rad nie potrzebujemy, ani ja ani Julcia.

— Wszak każda życzliwa osoba ma prawo...

— Nie znam się na prawie... Juleczko, Juleczko duszko moja, uspokój się! ach jakże jej serce bije... Mój Boże, taka młoda, a już tyle cierpi... już wdowa kochanie, oj wdowa, wdowa nieszczęśliwa... Sądzę moja pani, że sama dam radę mojej kuzynce, ja jestem krewną i bliską krewną, a pani co?

— Ja może więcej niż krewną, bo przyjaciółką prawdziwą.

— Ciotuniu droga ratuj!..

— Moje dziecko, co tu ratować, co Pan Bóg przeznaczył... ot usiądź, albo się połóż kochanko... tu niema czasu. Nie masz nikogo coby ci pomógł, a toż i o ubraniu tegoż Antolka trzeba myślić... Tak, tak, to cię rozżala, przykra konieczność.

— Ciociu nic nie mów, bo mię dobijasz! Boże!

— Przecieżeś go kochała aniołku moja—trzebać mu ostatnią przysługę oddać. Tyś zmartwiona, gdzie ci o tem myśléć, ależ Pan Bóg ci dał ciotkę nieboszczyka, ona to wszystko załatwi. Zaraz pójdę do Szmula, wybiorę mu atłasu na wybicie trumny, jakiego chcesz: różowego czy niebieskiego? Ja myślę, że różowego, on brunet, blady, to będzie mu lepiej... No, no, nie płacz dziecko, jeszcze ci życie nie uciekło, jesteś młoda! A pieniądze czy masz jakie? — No, nie płacz-że, to ja wezmę tak od żydów, potem się zapłaci... Trzeba i poduszkę jaką i trumnę piękną... wart był tego Antolek, wart moje serce.

I kochająca ciotunia zostawiła zrozpaczoną kassjerową, a sama dalejże do miasta. Adjunkt także się wyniósł, pani Klotylda tylko została, lecz zadąsana, obrażona, wąchała swój winegr, myśląc jakąby tu włożyć suknię na pogrzeb kassjera.

Wszedł doktor.

— Pani nie płacz, tylko co byłem u chorego — znacznie jest lepiej, znacznie...

— Jak to, nie umarł? — krzyknie kassjerowa, chwytając za ręce doktora i gwałtem cisnąc je do ust...

— Pani, co robisz?— ani myślał umierać; nastąpiły poty, tyfus już przesilony... niema żadnego niebezpieczeństwa. Tylko na miłość Boską spokój, dyeta...

— I ja go zobaczę panie kosyljarzu, pozwolisz, co? pozwolisz? — Bo daruj, ale ja nie wierzę, on już nie żyje, tylko mię zwodzicie... czy tak, och powiedz, powiedz na miłość Boską — mówi, klękając przed nim i składając ręce jakby do modlitwy...

— Ależ pani, słowem honoru zaręczam pani, że daleko zdrowszy... Owszem, możesz go pani odwiedzić, tylko trzeba się uspokoić nieco, bo doprawdy ja zdrów jestem, a przestraszyłem się, zobaczywszy panią w takim stanie...

Kassjerowa za całą mękę i tortury, życzliwością przyjacielską zadane, tylko spojrzała wesołem okiem na Klotyldę, która zdobyła się na nową pociechę:—To jeszcze lepiej, że nie umarł.

Za chwilę już rozpogodzone oblicze kassjerowej przekonywało, że ma nadzieję o życiu małżonka; wyszedłszy z pokoju męża, miała tyle dobroci i chrześcjańskiej miłości, że podziękowawszy za troskliwość sąsiedzką Klotyldzie, prosiła tylko o spokojność. Tymczasem kochana ciotunia w towarzystwie kilku żydków niosącvch pakiety różnych towarów, wtoczyła się zamaszysto do pokoju.

— Nie mogłam aniołku dostać różowego, ale śliczny jest zielony, jak Maj. Juleczko, a na poduszkę biały po cztery złote, i sznur do obszycia i frendzla na trumnę.

— Ciociu nie potrzeba, ciociu, tylko ciszej...

— Ale co tam nie potrzeba, tyś zdesperowana.....

— Ciszej na miłość Boską — mówi Klotylda, przykładając palec do ust...

— Umarłemu kadzidło niepotrzebne — a waćpani racz mię uwolnić od swych upominań, jestem kuzynka nieboszczyka, zdaje mi się, że to mię upoważnia robić co mi się podoba... Juleczko, jak to dobrze, żeś się pocieszyła... Trumna będzie wiśniowa jak krew z mlekiem politurowana, już robią. 120 złotych zgodziłam...

— Ha, ha, ha — zawoła śmiejąc się Klotylda, pan kassjer żyje i zdrów będzie.

— Nie, to nie może być! jakto, on nie umarł?!

— Ależ ciociu, dopiero byłam u niego, nastąpiło przesilenie, poci się — odrzekła z widoczną radością pani Julja.

— Co to znaczy moja duszko?.. no, no, ktoby to powiedział, ktoby się domyślił? A takie śliczne sprawunki porobiłam — dodała ciszej jakby do siebie. — Zresztą moja duszko niema co wierzyć doktorom.... u nich każden zdrów będzie.

— Ależ ciociu, na miłość Boską, czy można mię tak pocieszać?

— Bo co prawda to prawda — jeszcze ja ci powiem: na dwoje babka wróżyła; nie wierz doktorom, nie wierz!..

W tej właśnie chwili przechodzi koło okien Naczelnik Powiatu, a za nim kłaniając się i modląc pan adjunkt z pliką papierów pod ręką, które nieustannie przewraca i dowodzi swego z całą zapamiętałością.

— Dwadzieścia lat służby panie Naczelniku — żona, czworo dzieci, niech pan Naczelnik zrobi mi tę ostatnią łaskę i przedstawi na kassjera. Dalibóg, że sobie w łeb wypalę jak pan Naczelnik odmówi: ot nominacja na kancelistę, examen jeszcze z dnia 1 (13) sierpnia 185... za Nr. 17.428.

— Ależ panie, daj mi pokój! — wstydź się, byłeś przyjacielem nieboszczyka, on jeszcze nie ostygł, a już targować chcesz jego miejsce..

— Wszyscyśmy ludźmi panie Naczelniku, tu o los idzie, otóż napisałem prośbę...

Lecz nie słuchając dalej Naczelnik, pyta przez okno stojącą najbliżej panią Klotyldę: — jakże tam biedaczka? bardzo desperuje?

— Owszem panie dobrodzieju, najszczęśliwsza — doktor ją zapewnił, że niema niebezpieczeństwa...

— Ale wierz im — przerywa sobie ciotunia...

— Jakto? nie umarł?

— Och dziękuję panu Naczelnikowi za pamięć, serdecznie dziękuję — mówi ze ślicznym uśmiechem, zbliżając się ku oknu kassjerowa.

— A widzisz panie adjunkcie — rzecze Naczelnik.

— Ach jakżem szczęśliwy doprawdy, jakżem szczęśliwy, to ten podsędek puścił bajkę. Ale się to zdarza często — dodaje mnąc ze złości przygotowaną już prośbę o posadę kassjera... pamiętam czytałem w kalendarzu podobną historję o jakimś pułkowniku. Miało to być w Hiszpanji, czy w Madrycie... ale nie to, nie tam to, w *Granacie*... o bardzo ładnie napisana historya, bardzo ładnie przez jakiegoś doktora... bodajże cię, zapomniałem...

— Dałbyś pan pokój — rzeknie Naczelnik ze swą historją — ona zmęczona, zmartwiona... Pani Klotyldo, proszę na czekoladę do żony — mają tam nowe ubiory z Warszawy.

— To i ja cię duszko pożegnam — mówi ciocia, korzystając ze sposobności... przepraszam cię serdeńko, żem się pospieszyła, ale to się nie zepsuje, a co się odwlecze, to nie uciecze...

Wyszli więc wszyscy pocieszyciele, jako serdecznie życzliwi pani kassjerowej i każde myślało sobie w takim sposobie:

1° Pani kassjerowa: niech ci Bóg błogosławi Naczelniku, żeś ich wyprowadził.

2° Naczelnik: oj podłota, wszystko dla swych korzyści lub próżności gotowi poświęcić; pięknie ją cieszyli.

3° Pani Klotylda: ciekawam co to za stroiki? pewno z Freta ulicy, czerwonawe, żółtawe, już to niezawodnie bez gustu — a szkoda, że nie będę mogła włożyć czarnej mantynowej sukni — piękna pogoda na pogrzeb, szłoby się jak na spacer, a kto wie czy drugi raz w taki ładny czas umrze.

4° Ciotka: a że też zmartwychwstał dziwna rzecz, takiem ładne rzeczy pokupowała, ale ja jadę czemprędzej, niech płaci kiedy mu się żyć zachciało.

5° Adjunkt: Straciłem na stempel djabli wiedzą za co? a człowiek tyle lat na jednej posadzie biedę klepie; Panie Boże dodaj cierpliwości...

STARY KAPRAL.

(„Le vieux caporal")

Naprzód koledzy, a śmiało!..
Marsz!.. wyrównaj szeregi!...
Wszakże nabita już broń?..
Płakać?.. och, wam nie przystało!..
Ognia do lulki kolegi —
I uściśnijcie mu dłoń!..
Prawda: kochałem was szczerze,
Jak synów moich, nie braci —
Bo oto siwy mam włos...
Lecz... myśmy przecie żołnierze!..
Naprzód więc, naprzód, kamraci:
Komendą będzie mój głos...
Baczność! Wyrównać szeregi!..
Strzedz się przy śmierci kolegi
Niemęzki okazać żal!..
Raz, dwa!.. Miarowym iść krokiem!..
Nie mrugnąć wąsem, ni okiem,
Na hasło: raz, dwa!.. cel! pal!..

Zelżył mię oficer młody...
W piersi starego rębacza
Wnet rozigrała się krew;
Dałem mu, dałem dowody,
Jakto obelgi wybacza
Siwego kaprala gniew!..
Ech, bracia, — cześć przecież miła!..
Zresztą — pamiętam ja wiecznie!..
Że legią na piersi mam...
Wielka to ręka uczciła
Człeka, że bił się walecznie:
Legią mi cesarz dał sam!..
Lecz karność — wiecie co znaczy:
Kulą w pierś — nigdy inaczej!..
Koledzy! Próżny więc żal!..
Raz! dwa!.. Miarowym iść krokiem!..
Nie mrugnąć wąsem, ni okiem,
Gdy rzeknę: raz! dwa! cel! pal!..

Co to jest?.. Wstydźcie się szlochów!..
Jest-li tam z wami niewiasta!..
To mi z szeregu ją precz!..
Ej, bracia! Liczba pieszczochów
Coraz to bardziej dziś wzrasta...
A nie żołnierska to rzecz!..
Tego jednego mi szkoda,
Że ze mną podanie legnie,
Co to był stary nasz hart:
Krew tam się lała jak woda, —
A człek nie chyli się, nie gnie —
I duchem jeszcze coś wart!..
Dziś — śmierć jednego kolegi
Sprawia, że szpecą szeregi
Niemęzkie płacze i żal...
Raz, dwa!.. Miarowym iść krokiem!..
Nie mrugnąć wąsem, ni okiem,
Gdy rzekną: raz, dwa! cel! pal!..

Słuchajno, młody kamracie!..
Wszak myśmy pono ziomkowie
W tej samej zrodzeni wsi?
Gdy wrócisz, — bądź w starej chacie,
Gdzie żyli moi ojcowie,
Gdziem prześnił młode me sny...
Och! Tyś, kolego, szczęśliwy,
Że ujrzysz strony rodzinne:
Tam jakoś szerzej pierś tchnie...
Piękniej zielenią się niwy...
Milej... Tfu! myśli dziecinne!..
Nie mówmy o tem już, nie!..
Tylko... tam matka ma żyje...
Niech prawda przed nią się skryje...
Pocóż staruszce ten żal!..
Raz! dwa!.. Miarowym iść krokiem!..
Nie mrugnąć wąsem, ni okiem,
Gdy rzekną: raz, dwa! cel! pal!..

Któż to znów głośno rozpacza
Tam, po za waszym szeregiem?..
Kobieta?.. Ach! znam ją, znam...
Wdowa naszego trębacza!..
Zasnął on, biedak, pod śniegiem
I już na wieki śpi tam!..
Z nim pozostaliby społem
Wdowa z dziecięną niewielką —
Lecz litość przejęła mię:
Na plecy pędraka wziąłem...
A z babą — wódki kropelką,
Sucharem dzieliłem się...
Ot — teraz, gdy umrzeć muszę,
Jest komu ze moją duszę
Westchnąć, bo widzę jej żal...
Raz! dwa!.. Miarowym iść krokiem!..
Nie mrugnąć wąsem, ni okiem,
Gdy rzekną: Raz, dwa!.. cel!.. pal!..

Ej, bracia!.. Lulka mi zgasła!..
Nic! — tli się jeszcze... Tem lepiej:
Pociągnę ostatni raz!..
No!.. słuchać mi teraz hasła —
I niech się każdy z was krzepi, —
Bo oto — przyszedł już czas!..
Precz mi z tą chustką!.. Ja nie chcę!..
Nieraz widziałem śmierć blisko
I śmiałom patrzył jej w twarz!..
Niech was nic w sercu nie łechce!..
Celujcie śmiało!.. Za nizko!..
Bracie! komendę dać każ!..
Zemknij co gęściej szeregi!..
Celuj tu, w serce kolegi:
Wyżej bierz, wyżej na cal!..
Tak — dobrze!.. Pewnym mierz krokiem...
Nie mrugnij wąsem, ni okiem...
No!.. baczność: Raz! dwa!.. Cel!! Pal!!..

Z Beranger'a, **L. Kozłowski.**

DOBRY CZYN.

NOWELLA

Świętopełka Czecha.

Jestem dobroduszny — cóż ja temu winien? Onegdaj jadę ja sobie przez las niemająey końca, podczas sybirskiej zawiei. Wszystko do koła białe: jak białe zębate płachty wiszą gałęzie koło smagłych pni, odróżniając się tylko jaśniejszą białością od dalszego bledszego tła; przed nami biała droga, z góry wali śniegiem, z dołu sypie śnieżyca, a mroźna zawierucha huczy i pędzi to wszystko prosto w oczy.

Aż mi żal było Marcina na koźle. Dostawał to śnieżyste okrycie wprost z pierwszej ręki; wyglądał jak bałwan śniegowy, a tylko uszy cokolwiek nad potrzebę odstające, czerwieniły się jak korale indyka. Ale litość ustąpiła wnet moralnemu przeświadczeniu, że stoicki duch Marcina bohatersko odpiera rozszalałe ataki burzy, rozkoszując się już teraz ciepłem u komina, wonią wieprzowiny i miłym uśmiechem dziewczyny sklepowej, w której się kochał platonicznie.

Ale co nas obchodzą prywatne strony życia Marcina, spojrzyjmy przedewszystkiem na publiczną jego działalność. A w tym zakresie, jako stangret, był to chłopak nieporównany. Gdyby opatrzność, zamiast na wysokim koźle mojej staroświeckiej landary, posadziła go była przypadkiem na tronie, wierzcie mi, że historja byłaby go zaliczyła między najsławniejszych tyranów. Ilekroć za mną zatrzasnął drzwiczki powozu, zawszem się przekonywał, że moje panowanie nad nim przestaje, a natomiast ja staję się w jego ręku biernem narzędziem, lalką. Szybkość jazdy skręcanie i nadjeżdżanie, popasy, podnoszenie lub spuszczanie budy, krótko mówiąc: wszelkie szczegóły jazdy usunięte były z pod mojej władzy. Jednak znosiłem chętnie tę tyranję z kozła; miałem bowiem nieograniczone zaufanie w furmańskich zdolnościach Marcina. Ba, zdawało mi się nawet, że tylko jego niezłomna wola trzyma jako tako w kupie tę massę starego żelaziwa i spleśniałej skóry, a gdyby on swą prawicę odjął, rozsypałoby się to wszystko w proch.

Muszę otwarcie wyznać, że duch mój, aczkolwiek potężne futro, olbrzymie buty i cała kupa koców otaczały mię pancerzem przeciw zimnu, z którego tylko oczy przez małą szparę między brzegiem baraniastej czapki a podniesionego kołnierza wyglądały na tę białą pustynię, choć podniesiona buda i grzbiet Marcina jak tarcza chroniły mię przed zawieją, że mimo to wszystko duch mój wraz z Marcinowym prześcignął lot białogrzywych koni i dawno już radował się w ciepłej izbie w zajeździe wraz z wesołymi towarzyszami. Lekkie trzewiczki wyelegantowanych rusałek suwają się z szelestem nad nami w oświetlonej sali, a my stare safanduły, mając ołów w nogach, siedzimy na dole w zadymionej izbie koło okrągłego stołu, kurzymy, że niech Bóg broni, mlaskamy językiem po każdym łyku z wysokich szklanek, wyciągamy na wierzch stare, dawno zardzewiałe dowcipy i śmiejemy się do rozpuku ze starych studenckich figlów, które wszyscy umiemy już na pamięć.

Za każdym razem kończy się to wszystko trzema kartami w ręku i brzękiem stawek po stole, — bo i cóż innego robić? Gdzieżbyśmy, my wieśniacy, zasypani śniegiem niedźwiedzie, mogli sobie pohulać, jak nie w powiatowem mieście przy zjeździe, raz na miesiąc!

Ja miałem dziś właściwie jeszcze co innego na sercu. Muszę się zdradzić, że piszę wiersze i że te wiersze udają mi się znakomicie. Gdy tak czasem z wieczora siedzę sobie w ciepłym pokoju, na dworze huczy zawierucha i gwiżdże w kominie, martwo i zimno na bożym świecie, kot mruczy pacierze na przypiecku mój kochany aniołek, mała Olga, żywa pamiątka po większej Oldze, spoczywającej tam na zasypanym wiejskim cmentarzu, — spogląda na mnie wielkiem, marzącem okiem,—w takich chwilach palce chwytają za pióro i długo w noc migają nad papierem.

Właśnie dzień przedtem przypomniałem sobie żywiej niż kiedyindziej Olgę na cmentarzu i czulej niż kiedyindziej pocałowałem Olgę, siedzącą na stołeczku u mych nóg. Rezultatem tego wzruszenia była ballada zimowa: W objęciach śniegu.

Chętnie dzielę się z każdym mą pracą, kto tylko zna się na tem, co piękne i przypuszczam nie bez racji, że żaden z mych czytelników nie przeskoczy z niechęcią tych wierszy, w których podam pokrótce treść owej ballady: Osierocone dziewczątko ucieka z chaty obcych ludzi, którzy się nad nią znęcali, do śnieżystej pustyni. Leci jak ptaszę, zostawiając na śniegu ledwie ślady swej drobniuchnej bosej nóżki. Dobiegło daleko aż ku wysokiej jodle, która w środku pola wznosiła zębatą, pobieloną śniegiem koronę, opuszczona, samotna, jak to dziewczę. Dwie czarne wrony przelatywały nad jodłą, a dwie smutne myśli nad głową dziecka: jedna, że jej zimno, druga, że jej matula nie przychodzi. A ta matula leżała daleko ztąd, głęboko pod śniegiem i pod ziemią w jodłowej trumnie. Ale dziewczątko o tem nie wiedziało, myślało, że matula się gdzieś schowała, może do tych dalekich, czarnych lasów. I chuchało od czasu do czasu w zziębnięte rączki i wołało od czasu do czasu: «Matulu, chodź i zagrzej mnie!» Żałosny głos dziecka leciał mroźnem powietrzem aż ku lasom, gałąź podawała go gałęzi z cichym szumem i płynął dalej, aż przeniknął śnieg i ziemię i doszedł do jodłowej trumny. I wstała z grobu dusza matki i oblokła się w czysty śnieg, by odwiedzić swe dziecię. W czysty śnieg oblokła się i djadem z lśniącego lodu włożyła na śnieżyste kędziory. Jasno biała leciała w powietrzu z rękoma rozpostartemi szeroko, z nachyloną głową, za którą powiewały daleko śnieżyste warkocze. Przyleciała aż do owej samotnej jodły lotem wichru i zawołała: «Tu jestem, dzieciątko me!» A w tej chwili księżyc oświecił duszę matki: tysiące iskierek posiało jej śnieżne szaty, djadem z lodu zapłonął jak dyament, a z bladych lic błyszczały niebiańskiem światłem, oczy miłości pełne.

«Ach, jakżeś piękna mateczko!», wykrzyknęło dziewczę, klaskając rączętami. «Jak anioł!»

«I ty będziesz taką,» rzecze matka. «Gdy się wyspisz, ubiorę cię także w jasny śnieg, wezmę cię na ręce i polecimy razem do taty.» Poczem usiadła pod drzewem, wzięła dziecię na ręce i okryła je białą połą swej śnieżnej szaty, tak iż tylko przez szparkę wy-

glądała z ciepłej kryjówki. Skłoniła nad niem oświetloną głowę i opowiadała mu te historyjki, któremi je kiedyś usypiała, a którym nie masz równych na świecie. Usnęło. Gdy na drugi dzień rano ludzie przechodzili tamtędy, spostrzegli pod jodłą wysoki nasyp śniegu, a pod wiszącym wierzchołkiem jej miluchną twarzyczkę dziecięcia spoczywającą jakby w pierzynce i powiadali sobie, że przemarzło; a to matka osłaniała je śnieżystemi ramiony i opowiadała mu najpiękniejsze na świecie historyjki...

Otóż taką to balladę napisałem, włożyłem ją do pularesa i wiozę ją obecnie do miasta, aby w stosownej chwili zapytać się o zdanie przyjaciela, inżyniera powiatowego, który się zna na tem.

W przedsmaku przyszłych korzyści wyglądam sobie szparą między czapką a kołnierzem, na gościniec, wtem spostrzegam w dali przed sobą jakieś zarysy ludzkiej postaci, gramolącej się wśród śnieżystej zawieruchy. Termometr sercowy podnosi się podczas ostrej zimy najwyżej; sądzę, że i ten, któremu nieszczęście bliźniego niewiele leży na sercu, przecież nie potrafi się ustrzedz wzruszenia na widok zmarzniętych łez i członków dygotających od zimna. Ja w ogóle, a zwłaszcza po owej zimowej balladzie byłem skłonny do współczucia.

Coraz widoczniej przedstawiała się owa postać wśród zawiei śniegowej; naraz, jakby za skinięciem laski czarnoksięskiej zniknęła nagle. Dopiero po chwili przekonałem się, jak się to stało. Z rowu obok gościńca drapało się coś podobnego do człowieka, powalanego śniegiem, dwie na fioletowo zabarwione ręce odróżniały się nieprzyjemnie od śniegu, w który grzęzły z rozpostartemi palcami. Nagle wszystko to stoczyło się nazad do rowu i tylko chmura miałkiego śniegu podniosła się nad tem miejscem, gdzie się to zapadło. Biedaczysko! Zawiany, zupełnie niedający się odróżnić brzeg gościńca widocznie usunął mu się pod nogami i przygotował mu położenie, dziś zwłaszcza dwakroć niepożądane.

Wreszcie wydrapał się w górę. Dojeżdżaliśmy ku niemu. Boże, co za widok! Zdawało się, jakby przykra natura zimowa chciała wszystkie swoje utrapienia wcielić w tę jednę postać ludzką, ze całą swą nędzę chciała nagromadzić w tym jednym, rozrywającym serce obrazie. Ot, prawdziwy ecce homo dzisiejszej zawieruchy. Wyobraźcie sobie starego, przeziębniętego człowieka, z przeżytą, pomarszczoną twarzą, na której nos przepyszną fioletową barwą współzawodniczył z uszyma i rękami, odrobina jakiegoś siwego szronu w miejscu brwi i wąsów; wyobraźcie sobie tego człowieka, kłapającego zębami i trzęsącego się na całem ciele, w potarganych butach, w jasnych letnich spodniach, świadczących o braku sznurka, w dwóch letnich surdutach, z których spodni, dłuższy spadał aż ku kolanom w kilku partyach nakształt pajęczyny i widocznie nie posiadał rękawów, bo wielkie zmarznięte ręce zwisają ku ziemi wprost z wierzchniego, krótszego surduta, od którego frendzle sięgają ledwie po łokcie; wyobraźcie sobie nadto, że na tem odzieniu wszędzie pełno śniegu i że można go podejrzywać, iż przysłowie: bliższa koszula ciała, niż suknia, do niego zastosować się nie da, zważcie to wszystko, a zrozumiecie, zkąd mi się zebrało na odwagę, żeby zawołać: «Marcinie, stój!»

Marcin pokazał niewyrobiony profil ciemno-czerwonej twarzy, lodowato spokojny, na którym tylko mięsiste powieki, ozdobione białemi soplami, i jeszcze mięsistsze usta lekko zadrgały. Jechał dalej!

Przejeżdżamy już obok nieszczęśliwego, który otrzepywał rękami śnieg ze siebie i przytem wilgotne, pozbawione blasku oczy tak żałośnie we mnie utkwił, że filantropijność moja była podrażniona do najwyższego stopnia. Jak lew rozdrażniony wrzasnąłem na Marcina: «Hej! stój!.. Marcin zrozumiał ważność chwili. Znał moje słabe strony i nie spodziewał się nic dobrego z tego zatrzymania się właśnie obok właściciela letnich pantalonów. Obrócił się tedy całą twarzą i całą surowość tyrańskiego charakteru skoncentrował w spojrzeniu, a całą niechęć moralną w uwadze: «Przecież nie będziemy po drodze zbierać?»

Ale filantropia zmieniła mię w tygrysa. Podniosłem się raptem, chwyciłem go za kołnierz i wrzasnąłem: «Milcz i stój!»

Marcin widząc, że trudna rada, skurczył ramiona, jakby chciał umyć ręce od wszelkiej odpowiedzialności za skutki i stanął. Męczennik zimy sądząc, że nagłe wstrzymanie powozu stoi w związku z jego osobą, przystąpił bliżej z kapeluszem w ręce.

«Dokądże to?» — zapytałem go uprzejmie.

Dygocząc, wymienił miasto powiatowe, dokąd i myśmy jechali.

«To możecie się przejechać. Szkaradna pora. Marcinie, jest tam miejsce na koźle?»

Nie wiem, zkąd Marcin i jego kożuch nabrali naraz tyle objętości, ale to pewna, że cały kozioł był tak pełny, że ani szpilki wetknąć.

«Albo siądźcie sobie raczej tu, w powozie»—i pokazałem siedzenie naprzeciwko.

«Ale, jakżebym mógł...» jąkał biedak w radośnem zdziwieniu. A oczy jego wyrażały nieskończoną wdzięczność.

«No, tylko siadajcie i otulcie się w ten koc.»

Z licznemi ukłonami, z widocznem staraniem, żeby mi nie sprawić niewygody, wlazł do powozu. Marcin nadąwszy górną wargę i przymknąwszy nieco powieki spoglądał z góry na gramolącego się biedaka, a gdy ten się zagrzebał w koc, obrócił się ku nam pogardliwie odwrotną stroną medalu, ulżywszy sobie poprzednio energicznem splunięciem pod koła.

Jechaliśmy dalej. «Djabelskie powietrze» — rzecze nowy pasażer, okrywając kosmatym kocem drżące ręce i nogi.

«Ba, sybirska zawieja!» — odrzekłem, przytakując.

Umilkliśmy. Przypatrywaliśmy się sobie nawzajem. Ja jestem sobie mężczyzna w kwiecie wieku, a ludzie mówią, że wyglądam doskonale; przyłączywszy do tego warstwę flaneli, ubranie zimowe, paletot, stary płaszcz, buty, baraniastą czapkę, ogromne futro i masę koców, przedstawiałem z pewnością w tej chwili pucołowaty obraz naturalnego i sztucznego nadmiaru i tworzyłem przykry kontrast z tą przemarzniętą, przeziębłą postacią, siedzącą naprzeciw, która z cichą zawiścią obserwowała moje pełne, miękkie kontury. Zawiść bliźniego nigdy mi nie sprawiała radości, a w tej chwili świadomość materjalnej przewagi nad tym biednym starcem, była mi po prostu nieprzyjemna. Wstydziłem się wobec tej chudej, zapadłej twarzy, swego okrągłego, rumianego oblicza i kłapanie zębów brzmiało jak surowy wyrzut z powodu sybaryckiego przepychu w zimowem ubraniu. Żeby się pozbyć tego przykrego uczucia, wstałem i roz — no, nie rozciąłem futra na dwoje, jak patron mego woźnicy Marcina swój płaszcz, ale zadowolniłem się futrem, a stary płaszcz podałem marznącemu bliźniemu.

Przyjął go drżącemi rękami, jąkając jakieś niezrozumiałe wyrazy podziękowania. Gdy stary płaszcz zasłonił litościwie cały ten obraz nieszczęścia i tylko zziębnięta, pomarszczona twarz wyglądała z poza czerwonego, podniesionego kołnierza, gość mój przedstawiał się teraz wcale pokaźnie. Co więcej, w jego spowszedniałych rysach mogłem się dopatrzeć znamion wyższego wykształcenia i delikatniejszego obejścia się. Przedstawiał mi się on teraz jako człowiek zgnębiony raczej walką wewnętrzną, niż materjalnym niedostatkiem. Żałowałem już prawie, żem mu z początku ofiarował kozioł.

«Ach, panie, jak nisko upadłem!» zaczął po chwili nieśmiało. «Bywały czasy, kiedym sobie siadywał na miękkich poduszkach ekwipażu, rozwalony niedbale na krylem siedzeniu, że ani wietrzyk na mnie nie zawiał, a tu, gdzie teraz siedzę, spoczywały wyciągnięte nogi. Ach, uczciwość mię zgubiła, zbytnia uczciwość!»

Jednym razem przyszło mi na myśl, że na tylnem wygodniejszem siedzeniu jest dość miejsca dla dwóch osób.

Przysunąłem się więc w kąt karety i wezwałem biedaka, żeby sobie usiadł obok mnie. Uczynił to po długiem wahaniu.

«Ach, co za poczciwy człowiek z pana!» rzekł. «Takich ludzi dziś ze świecą trzeba szukać. Większość ich spogląda obojętnie na cudzą niedolę, odwraca się zimno od nieszczęśliwego brata, który u stóp ich umiera z głodu i pragnienia...»

Przypomniałem sobie, że w walizce mam parę plastrów szynki i butelkę starego wina. Bez namysłu wyciągnąłem jedno i drugie i podałem przeziębniętemu sąsiadowi. «Dla zagrzania!» dodałem oględnie.

«Ach panie, jakżeż mam okazać swą wdzięczność...» szeptał biedaczysko. Ale dla mnie najprzyjemniejszem podziękowaniem była łapczywość, z jaką się zabrał do szynki i do wina. Gdy mi oddał wśród błogosławieństw próżną butelkę, otarł siwe wąsy i pogładził się po miejscu, gdzie inni ludzie zwykle brzuch mają, zjawiła się na twarzy jego chęć zwierzenia się.

Pobudziłem ją wzrokiem, pełnym współczucia. Odkaszlawszy parę razy, zaczął: «Drogi panie, przed trzydziestu laty, nie byłbym nawet we śnie pomyślał, że na stare lata przyjdzie mi żebrać u cudzych drzwi. Tak, panie, żebrać!

Wiek dziecięcy i młodość strawiłem w domu bogatego bezdzietnego stryja, który mię otaczał dowodami swej miłości. Byłem jego gagatkiem. Z uśmiechem przebaczał mi tysiączne sprawki, pochodzące z swawoli młodzieńczej, z rozpusty nieokiełznanej, ale czystej, gorącej miłości mi nie przebaczył. Zakochałem się w ubogiej dziewczynie—szwaczce. Gdy się stryj o tem dowiedział, wszczęła się okropna burza. Żądał żebym się nie ważył przestąpić progu tej gryzetki. Drżącym głosem zwierzyłem się mu, że ona jest matką. Stryj prawił mi wprawdzie kazanie, ale ostatecznie zadecydował, że i ta moja sprawka da się pieniądzmi załagodzić i zaczął mi świetnemi barwami przedstawiać przyszłość, jaka mię oczekiwała przy boku ślicznej, bogatej małżonki, jaką mi gdzieś wyszukał. «Stryju kochany!» — zawołałem — «ja Marji nigdy nie opuszczę!» «Taaak?» zawołał stryj, «to ja ciebie opuszczę; namyśl się: albo zrzeknij się tej swojej zalotnicy, a będziesz szczęśliwym, bogatym, albo opuść ten dom, którego drzwi nigdy się już przed tobą nie otworzą.» Opuściłem dom stryja i ożeniłem się z Maryą. Z początku wiodło nam się dość dobrze. Miałem jeszcze trochę pieniędzy od stryja i dość kredytu, bo ludzie na pewne sądzili, że się stryj prędzej czy później da ułagodzić. Ale gdy on umarł, i ani szeląga mi nie zapisał, popadłem naraz w najokropniejszą nędzę. Wierzyciele rzucili się na nas, zabrali nam dobytek, suknie, bieliznę: naraz znaleźliśmy się na pół nadzy w pustej komórce pod strzechą, a nędza wzięła nas w swe zimne ramiona, nędza okropna, jakiej pan nigdy nie doświadczyłeś i pewnie nigdy nie doświadczysz!»

Czułem ciężar tego zarzutu. Spuściwszy oczy, siedziałem obok niego jak skruszony grzesznik.

Po chwili mówił dalej: «Żona wzgardziła tak przykrym losem. Pewnego razu poszła z domu i nie wróciła wiecej. Ha, dotąd była piękna. Zostawiła mi na pamiątkę cztery biedne robaczki. Napróżno ubiegałem się za jakiem korzystnem zatrudnieniem, wszędzie odprawiano mię z niczem. Nieszczęście wlokło się jak cień za każdym mym krokiem. Przypadkowy, skromny zarobek nie wystarczał na wyżywienie tych pięciorga dzieciaków.

«Pięciorga?» zapytałem. Mnie się zdawało, że była mowa o czworgu.»

«O czworgu mówiłem?» — rzekł na to. «Taka to już moja stara, skłopotana głowa! Miesza się w niej wszystko!

Pięcioro ich było: trzech chłopców i dwoje dziewcząt. Wspomnienie jednego dnia prześladuje mnie ustawicznie.

Jaś chory, oddychał ciężko, leżąc na pościeli. Reszta dzieci otoczyła mnie i wyciągały do mnie rączki, wołając: «Tato, chleba. Okropnie się nam chce jeść!» A ja, miałem próżną kieszeń i pusty żołądek. Z rozpaczliwą rezygnacją wybiegłem na ulicę. Chciałem użebrać skórkę chleba dla dzieci. Ale wstyd ściskał mi gardło, ile razy chciałem odezwać się do którego z przechodniów. Tak doszedłem aż ku bramie. Wyszedłem na chybił trafił za miasto. Stała tam w odosobnieniu karczma. Zajrzałem przez otwarte okno do jasno-oświetlonej izby. Za stołem siedział jakiś brzuchacz z czerwoną, otyłą twarzą, już dobrze podpity. Był to bogaty handlarz bydła. Chełpiąc się znacznym zyskiem z całego dnia, wyjmował z szerokiego trzosa garście pieniędzy i rzucał je na stół, koło którego siedziała gromadka obtarganych grajków. Sam nie wiem, jakem się znalazł w obec niego z kapeluszem w ręce. Powstał na mnie: «I ty się nie wstydzisz żebrać. Taki młody i zdrowy? Hej, panie szynkarzu wyrzućcie za drzwi tego nicponia a wy panowie muzykanci, zagrajcie mu marsza na drogę.»

Nie wiem, w jaki sposób znalazłem się znow przed karczmą. Zazgrzytałem zębami, zaciąłem pięście i pobiegłem dalej gościńcem. Nagle stanąłem, wyjąłem chustkę z kieszeni i spojrzałem na gałąź wiszącą tuż nad drogą. Ale w tej stanowczej chwili przypomniałem sobie moje biedne dziatki. Wróciłem się. Gdym znów przechodził koło karczmy, wytoczył się właśnie z bramy opasły handlarz, teraz już porządnie pijany. Jakiś czas potaczał się po gościńcu, aż wreszcie wywrócił się do fosy. Usłyszałem jak sobie wygodnie chrapał. Przechodząc tuż obok niego zobaczyłem pod nogami coś błyszczącego. Schylam się, patrzę — dukat! Mimowoli obejrzałem się w koło, wszędzie ciemno, że oczy wykol, nigdzie ani żywej duszy. Przez chwilę trzymałem dukata w ręce, przez chwilę tylko szeptał mi zły duch słowa pokusy, ale wkrótce rzuciłem złoty pieniądz do fosy ku owemu panu, że aż głośno zadzwonił. W domu wybiegły dzieci naprzeciw mnie, mówiąc, że chory Jaś całkiem zimny i nic się nie rusza. Schylam się ku niemu, kładę rękę na serduszku — przestało bić.»

Umilkł na chwilę. «To nie było postępowanie na miejscu,» rzekłem do niego. Otworzył oczy ze zdziwieniem. «Jakże więc miałem sobie postąpić? Miałem zostać złodziejem?»

«Gdyby w świecie panowało prawo miłości, a nie sobkostwa, nie byłoby w nim złodziei, chyba z łakomstwa lub z lenistwa. Kradzież popełniona z nędzy bywa sprostowaniem krzywego, nieczułego układu społeczeństwa.» (Dla uspokojenia czytelników muszę nadmienić, że in praxi, jako żywo nie ukradłem nikomu ani szpilki, ba co więcej nawet myśli, o ile wiem. Mam tylko takie oryginalne poglądy).

«Ach panie!» odrzekł smutno, «nie potrafiłem się wznieść nad ten przesąd, który nasi idealniejsi praojcowie nazywali uczciwością, i już się nie wzniosę. Zasady mię zgubiły, zasady przywiodły mię aż na brzeg tej przepaści, nędzy, z której się wydobyć niepodobna. Nie wiem gdzie skłonię dziś siwą głowę, czem jutro zaspokoję głód...»

Czułem się karzełkiem moralnym w obec tego tytana uczciwości w żelaznych łachmanach, tego męczennika za przekonania. Żeby zmniejszyć choć trochę jego troskę o przyszłość, wyjąłem pulares i wcisnąłem mu do ręki większą część pieniędzy i to jako należną daninę, nie jałmużnę. Konwulsyjnie prawie ściskał biedak moją rękę w swych dłoniach i wzywał błogosławieństwa bożego na mą głowę. Poczem zaczął opowiadać dalej: Po Józiu straciłem niedługo dwóch chłopców i dziewczątko. Pomarli z głodu, z braku lekarskiej pomocy. Śmierć je skosiła, jak powiędłe kwiatki. Posłuchaj pan, jak pochowałem ostatnie dziecko—mojego Wacia.

«Przepraszam», przerwałem mu. «Wszak według poprzedniego opowiadania powinno zostać jeszcze dziewczątko.» «A, tak»

rzekł prędko. Dziewczyna ta była. No, widzi pan, jaką ja to mam słabą głowę. Rzeczywiście, była dziewczyna. Wtedy przestałem się już wstydzić żebrać. Był to mroźny, zimowy wieczór, jak dzisiaj. Niosłem ją przemarzniętą, płaczącą na ręku, myślałem, że kamień wzruszy się nad naszem położeniem. Ale napróżno pukałem do wszystkich drzwi; wszędzie odprawili mię z łajaniem. Pogrążony w rozpaczliwych myślach wyszedłem za wieś. Szedłem przez pusty las. Mroźno było jak dziś. Śniegiem pokryte drzewa sterczały obok drogi, obojętne, zimne, jak ci ludzie we wsi. Dziecię płakało na mym ręku. «Tato, mnie się chce jeść» zakwiliło od czasu do czasu. «Zaraz dostaniesz chleba, tylko wyjdziemy z tego lasu», uspokajałem ją, sam mrąc z głodu. Otuliłem ją całkiem swoim surdutem i ogrzewałem własną piersią. Uciszyła się. Nagle wydobyła głowę z pod okrycia i spojrzała na mnie niepewnym wzrokiem. Przestraszył mię dziwny blask jej oczu. «Ale prawda, tato, że tam za lasem dasz mi lalkę z prawdziwemi włosami, którąś mi obiecał!» Te słowa bardziej ugodziły w me serce niż poprzedni jej płacz. Nogi uginały się podemną ze znużenia i osłabienia. Jeszcze chwilę wlokłem się przez gościniec, ale już dalej nie mogłem. Tuż u gościńca stało wysokie drzewo całunem śnieżnym okryte, wznosząc długą, białą gałąź ponad gościńcem. Zdawało mi się, że to mój straszny los okazuje mi palcem jedyną drogę, którą z tego padołu mogę się dostać do góry: Upadłem w śnieg pod drzewem i położyłem głowę na pniu. Księżyc świecił jasno, iskierki błyszczały na śniegu. Córeczka siedząc u mnie na wpół tylko osłonięta surdutem, drżała jak osika.

Nagle wyciągła rękę ku nadciągającej zawiei i zaczęła szeptać dziwnym głosem: «Oh, tato! idzie już do mnie. Widzisz ją? o tam. Koło głowy powiewają długie czarne włosy, złote jej trzewiczki zostawiają na śniegu drobniutkie lśniące ślady. W ręku trzyma wachlarz z kwiatów i motylków a na palcu ma złoty pierścionek a w nim kamień drogi, świecący jak słoneczko. Cała ubrana w złoto — ach jaka piękna lalka! Uśmiecha się do mnie,—o już idzie do góry po twojej nodze, utkwiła we mnie łaskawie piękne żywe oczy...» Umilkła, zwiesiła głowę na mych piersiach. Ciało jej zaczęło stygnąć i tężeć. Chciałem wstać — nie miałem siły. Chciałem krzyknąć, głos mi zamarł w gardle. Przycisnąłem zimne jej ciałko mocniej do piersi i skłoniłem nad nią głowę. Tak siedziałem długi czas nieruchomie. Śnieg zaczął padać z góry, na głowę i na kolana. Przytomność mię opuszczała. Tylko jak we śnie zoboczyłem jeszcze w dali na gościńcu połyskujące światełko i usłyszałem słaby głos dzwonków. Wydawał mi się on brzmieniem z innego świata... Był to furman. Litościwy ten człowiek znalazł nas pod drzewem i wziął mię na sanie wraz z martwą córką...

Milczałem będąc głęboko wzruszony. Uderzyło mię dziwne podobieństwo tego opowiadania z moją zimową balladą. Ale tu była okropna, przerażająca rzeczywistość. Przypomniałem sobie moją mają Olgę w domu, serce wrzało współczuciem. Zgarnąłem na nieszczęśliwego wszystkie koce i połową futra go okryłem, tak iż mnie samemu zaczęło być zimno w nogi. Wśród tego śnieg przestał padać i zciemniło się na dobre. Już dawno wyjechaliśmy z lasu.

Przed samem miastem wysiadł biedaczysko. Dziękował mi w gorących słowach za wyświadczone dobrodziejstwo. Podałem mu z powozu rękę; uścisnął ją serdecznie i obejmował długo w swych dłoniach, a w końcu uczułem na niej gorącą łzę. Biedak!.. Nareszcie zniknął w ciemności...

Wśród przyjaciół w ciepłej izbie wrócił się mi niedługo wesoły humor. Wszak zawsze człowiekowi bywa tak miło, swobodnie, gdy wykona dobry czyn. Odczyszczaliśmy na nowo zardzewiałe koncepty, korki strzelały aż pod sufit, pełno było śmiechu i gwaru. «No, może sobie... ten... tego» — rzekł w końcu proboszcz bruszycki. Wszyscy przyjęli ochotnie słowa pomazańca bożego. Sięgam po pulares, żeby wyjąć drobne. Ale co u djabła! pularesu niema! przeglądam wszystkie kieszenie, nec locus, gdzie był pulares. «Może cię okradł.» pomyślałem mimowoli, ale wnet z oburzeniem odrzuciłem powstające podejrzenie. Gdy jestem w kłopocie, mam zwyczaj obracać drogim pierścionkiem zaręczynowym, który zamieniłem był z nieboszczką Olgą. Biorę się tedy za palec, chcę obrócić pierścionek — masz tobie! pierścionka niema, tylko czerwony ślad został po nim na palcu!

Teraz już nie było wątpliwości. Choć z niechęcią nie mogłem się obronić przekonaniu, że zostałem okradziony. I to przez kogo? Przez tego olbrzyma poczciwości, męczennika za zasady, z którym się podzieliłem powozem, prowiantem, odzieżą, ba i pieniądzmi. Zabrał sobie i resztę. Jakby mię kto zimną wodą oblał. O ludzkości!

Ale niedługo oddawałem się tym pochmurnym myślom. Jestem pobłażliwy na ludzkie słabości. No cóż, nikt z nas nie jest aniołem! Wiedział przecie, że mi o te parę groszy nie chodzi. Pokusa była zbyt silna, sposobność ponętna. Ale szczwany lis, słowo daję. W te dzieci także mi się nie chce wierzyć... Ale co genialna, to genialna głowa.

O pożyczkę poszło łatwo między przyjaciołmi. Wkrótce znów się rozweseliłem. Przypadek cały przedstawiał mi się teraz tylko z komicznej strony. Co mię najbardziej gniewało, to to, żem nie mógł nawet powiatowemu inżynierowi przeczytać swej zimowej ballady, znikła wraz z pularesem.

Grałem i przegrałem sławnie, jak zwykle. No widzisz, mówiłem sam do siebie i tak byłbyś przegrał te pieniądze, za które twój nieszczęśliwy bliźni kupi sobie kilka spokojnych, a może i wesołych dni! Takie już mam usposobienie. Ja temu nie winien.

Nad ranem rozłączyliśmy się w różowym humorze wśród ogólnych pocałunków i uścisków. Gdym wsiadał do powozu, zwrócił moją uwagę Marcin z jakiemś zwycięzkiem spojrzeniem, że nie mam na sobie płaszcza i że go nie może także znaleść w powozie. Musiał się zdziwić niemało, gdym po chwili z głośnym śmiechem zawołał: «Et pal djabli płaszcz! Jedź z Panem Bogiem.» Ale w duchu pomyślałem sobie: «Tak, jeszcze i płaszcz. No, wszak wysiadł w nim z powozu. Ale głowa genialna! Ha, miej go sobie. Niech go tam Pan Bóg sekunduje, żeby tym płaszczem otulał i ogrzewał przeziębłe ciało aż do najdalszej śmierci.

SZCZĘŚCIE.

(„Le bonheur").

„Och, patrzcież-bo, ludzie: przed wami, przed wami,
„Przed wami!.." nadzieja powiada...
Więc biegną — i patrzą chciwemi oczami...
I każdy już w duchu układa,
Że pierwszy do szczęścia dosięgnie już dłonią...
I tłumy szalone wciąż pędzą i gonią,
Trącając się wzajem, tratując nogami,
Wołając: „przed nami! przed nami!.."

„Och, patrz-bo, człowiecze: przed tobą, przed tobą,
„Przed tobą, gdzie wiejskie zacisze,
„Tam człowiek tak zgodny i z światem i z sobą,
„Tak szczęsny, gdy dziecię kołysze,
„Lub patrzy na pola, gdzie zboże się płoni,
„Nagradza mu pracę przyjemną!.."
Człek wierzy... i rwie się... i marę wciąż goni,
Wołając: „przedemną! przedemną!.."

„Och, patrz-bo, człowieku: przed tobą, przed tobą,
„Przed tobą, — w tym gmachu giełdowym,
„Zdobędziesz tam życie, co szczęścia jest dobą,
Lśniąc blaskiem dla ciebie tak nowym
Zdobędziesz tam wszystko, bo złoto, bo złoto!..
Człek wierzy... i pała gorączką nikczemną...
I pędzi przed siebie z szaloną ochotą,
Wołając: przedemną! przedemną!..“

„Och, patrz-bo człowiecze: przed tobą, przed tobą
Przed tobą — tam —na tym okręcie,
„Ten statek wnet lądy zostawi za sobą,
„Slizgając po morza odmęcie...
„I pomknie w dal siną, gdzie nowe są światy,
„Gdzie szczęście nie snem, nie marą daremną!..“
Człek wierzy... już uniósł go okręt skrzydlaty..
On woła: „przedemną! przedemną!..“

„Och, patrz-bo człowiecze: przed tobą, przed tobą,
„Przed tobą, — tam, w Azyi starej,
„Tam świat się nie okrył ponurą żałobą,
„Tam życie roztacza swe dary,
„Jest pasmem uniesień, jest samą rozkoszą,
„Jak raj Mahometa, tak wiecznie przyjemną!..“
Człek wierzy... Nadziei go skrzydła unoszą —
I woła: „przedemną, przedemną!..“

„Och, patrz-bo człowiecze: przed tobą, przed tobą,
„Przed tobą — w Kolumba krainie:
„Tam wolność szeroką, jest człeka ozdobą,
„Tam mlekiem i miodem świat płynie...
„Tam — człowiek swobodny, jak ptak ów skrzydlaty,
„Wyszydza Europy niewolę nikczemną!..“
Człek wierzy... i pędzi w nieznane gdzieś światy,
Wołając: „przedemną! przedemną!..“

Lecz życie się kończy... Gdzież szczęście?.. Przed wami!..
„Przed wami!.. nadzieja wciąż woła...
Więc jeszcze człek pędzi... zgasłemi oczami
Pogląda zdyszany dokoła:
Już chciałby nareszcie dosięgnąć swą dłonią
To szczęście, co wieki go mami...
Lecz próżno! Upada znużony pogonią!..
Już szczęście za nami! za nami!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

HENRYK HEINE.

PORTRET LILERACKI

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Uwaga wstępna.

Henryk Heine uchodził swego czasu za twórcę i naczelnika nowej szkoły literackiej w Niemczech i wpływał stanowczo na całe dwa pokolenia. I w naszej poezyi spotykamy ślady jego «słodkiej trucizny,» zwanej «weltszmercem.»

Lśniący co chwila innemi barwami, jak wąż z baśni ludowej, dziś romantyk, jutro realista, dziś pesymista, jutro pełen wiary w cele ludzkości, ślizgi i niepochwytny, wymyka się Heine z rąk krytyka, przywykłego do postaci jednolitych i zwartych.

Ponieważ Heine, jako pisarz na wskroś tendencyjny, należy do tych autorów, których trzeba ocenić koniecznie z jakiegoś wyraźnego stanowiska, aby nie stracić nici przewodniej w labiryncie ich kaprysów i zmieniających się ciągle poglądów, przeto wolałem pominąć wszystkie dotychczasowe krytyczne źródła niemieckie i powierzyć się jedynie własnemu instynktowi.

Spuścizna literacka Heinego (*Heinrich Hein'es Sammtliche Werke, Hamburg, Hofmann und Campe*, 1867—1868, tomów ośmnaście), cenny ze wszech miar życiorys Adolfa Strodtmann'a (*H. Heine's Leben und Werke*, drugie, poprawne wydanie, Berlin, 1873—1874 r., 2 tomy) i garść listów, pochodzących z zbiorku Varnhagena von Ense (*Briefe von Stägemann, Metternich, Heine und Bettinna von Arnim, Leipzig, 1865 r.*) — stanowią cały materyał do niniejszego portretu.

Pominąłem wszystkie ulotne broszurki, napisane swego czasu pod wrażeniem chwili; nie uwzględniłem kilku przyczynków do życiorysu poety, pochodzących od członków jego rodziny, jako też urywków z «Pamiętników», drukowanych i komentowanych współcześnie. Do charakterystyki bowiem Heine'go, jako człowieka, wystarcza biografia Strodtmann'a najzupełniej, a pisarza malują najlepiej jego własne utwory. Uważając powtarzanie drobnych wypadków i plotek z życia prywatnego poety za niepotrzebne dodatki w portrecie literackim, przypomniałem z życiorysu Heine'go tylko te dane, bez których obraz jego działalności publicznej nie mógł być całolitym.

Liczby, odznaczające tomy i stronnice, odnoszą się tylko do wymienionych powyżej wydań.

Wszystkich cytatów Heine'go nie mogłem przetłomaczyć dosłownie, gdyż autor «Obrazów», choć jest świetnym i oryginalnym stylistą, i choć wyśmiewa Börne'go za jego «krótkie, skaczące zdania, grzeszy jednak sam w zdaniach złożonych dość często przeciw składni. Dlatego starałem się tylko o wierne oddanie myśli, nie trzymając się niewolniczo każdego kaprysu językowego autora «Obrazów».

W rozdziale I. powtórzyłem kilka zwrotów z pracy mej p. t. «Dramat niemiecki XIX. w.», a w rozdziale II. kilka ustępów z «Żydów na tułactwie».

Przy ocenie działalności potyckiej Heine'go, posługiwałem się przekładem Mieleszki-Maliszkiewicza.

I.

Bezpośredni poprzednicy Henryka Heine'go.

(Reakcya przeciw klasycyzmowi niemieckiemu XVIII. w.— Romantyzm, jego hasła. — Patrjotyzm. — Uczucie. — Rozmiłowanie się w wiekach średnich- — Czułostkowość. — Fantastyczność. — „Ironja romantyczna.“ — Romantyzm i Heine).

Kołyskę Henryka Heinego ozłacały gasnące już promienie zachodzącego słońca, które rzucało jeszcze niedawno pełne i jasne blaski na ruch umysłowy niemców. Nie radosne okrzyki nowej, wielkiej epoki, nie dumne hasła wiary i nadziei, nie ufna w siebie pieśń młodości pobudzały dorastającego chłopczyka do twórczości, lecz zgryźliwe zrzędzenia suchych krytyków i rozpaczliwe skargi zawiedzionych poetów.

Z wielkiej trójcy literackiej, która pchnęła naród swój o kilka wieków naprzód, zrównawszy go odrazu z resztą ludów cywilizowanych, spoczywał już jeden w grobie, drugi dogorywał, a trzeci, starzejący się, zasklepił się w sobie. Nie było Lessing'a; Schiller przeczuwał, że policzono w księdze przeznaczenia jego lata, a Goethe przestał rozumieć swego czasu potrzeby i kochać jego smutki.

Jak świetne, iskrami sypiące meteory, ukazali się «klasycy» XVIII. w. na widnokręgu piśmiennictwa niemieckiego. Lessing złamał wpływ francuzki, Goethe zaś i Schiller wrócili geniuszowi Germanii sponiewieraną cześć, dowiódłszy swemi utworami, że można i w «barbarzyńskiem Teutonów narzeczu» tworzyć arcydzieła, o czem nawet Fryderyk II., król pruski, zwątpił.

A mimo to nie byli to pisarze narodowi. Nie wyrośli oni z gruntu swego ludu, lecz wyszli z pragnień ówczesnej ludzkości cywilizowanej.

Wiadomo, że się «rozum» jednostki zbuntował przy końcu wieków średnich przeciw wierze objawionej i zapragnął się wyzwolić z pod wszelkich powag. Rokosz ten, poczęty w humanizmie włoskim, wprawił niebawem całą Europę w drganie kurczowe. Wprawdzie spłonął jeszcze Hus na stosie, lecz Marcin Luther znalazł już wielu chętnych zwolenników. Mnich wittenbergski pozwolił czytać biblią, otwierając w ten sposób na rozcierz bramę krytycyzmowi, choć nie taki zamierzał przewrót. Zrazu komentowano tylko Pismo św., nie zaczepiając jego boskiej powagi, lecz gdy bezkarność rozzuchwaliła niewiernych Tomaszów, wtedy zabrano się do krytyki. Już Spinoza nazwał objawienie «wytworem wyobraźni takich ludzi, którzy nie mają wprawy w myśleniu», a deiści angielscy i francuzcy, popierani przez Niemców: Leibnitz'a i Wolfa, rozebrali do reszty wspaniałą budowę gotycką wieków średnich, naigrawając się w końcu z jej szczątków. Tak Voltaire; tak encyklopedyści paryzcy.

Jak student, wypuszczony ostatecznie z sali szkolnej, wykrzyknął «rozum» radośnie: jestem wolny, swobodny, mogę robić, co tylko zechcę! Ja was nauczę, co człowiek potrafi, gdy pozbywszy się krępujących go powijaków, radzi się tylko siebie.

W Niemczech dokonał młody, ufny w potęgę swoją «rozum,» rzeczywiście bardzo wiele, bo wydał tak zwany klasycyzm minionego stulecia.

Lessing, Goethe i Schiller są wychowańcami «oświecenia,» są synami po duchu deistów angelskich, francuzkich i Jana Jakóba Rousseau. Każdy z nich byłby równie znakomitym pisarzem, gdyby był innym przemawiał językiem.

Bo kogoż mogły pobudzić do twórczości ówczesne stosunki niemieckie? Rozbite na kilkadziesiąt oddzielnych księstewek, wiodło potężne niegdyś cesarstwo Hohenstaufów od wojny trzydziestoletniej marny żywot prywaty i drobnych zawiści. Żaden wielki ideał polityczny, lub społeczny, nie przyświecał blaskami gwiazdy przewodniej «narodowi myślicielów.» Każde książątko pamiętało tylko o sobie, nie troszcząc się wcale o dobro całego plemienia. O zjednoczeniu dzierżaw Barbarosy nie myślał nikt.

W takich warunkach nie mogło wybujać uczucie patryotyzmu. Ludzie zdolniejsi zamknęli się w sobie, tonąc w cichej pracy kontemplacyjnej, tracąc zmysł do spraw politycznych i społecznych. Zagadnienia filozoficzne, naukowe i artystyczne zajmowały ich więcej, aniżeli losy krwawych bitew.

Wprawdzie marzył Lessing o zbudowaniu teatru niemieckiego, lecz gdy go nadzieje w tym względzie zawiodły, oświadczył: że naród niemiecki nie dojrzał jeszcze tak dalece, aby mógł własny posiąść teatr; wprawdzie opiewa zrazu Goethe, tworzący jeszcze pod wrażeniem chwili, niedolę Wertera, zachwyca się czynami Götz'a von Berlichingen, wielbi Erwina von Steinbach, ojca gotyku niemieckiego; tak samo zapowiada Schiller w «Zbójcach» i w «Intrydze i miłości» poetę narodowego, lecz po niejakim czasie sprzeniewierzają się dowódzcy kierunku kochaniom swej młodości i stają się bezwzględnymi wielbicielami formułki: „sztuka dla sztuki.»

Gardząc wzorami Francji, a nie chcąc sięgnąć do skarbnicy przedmiotów i form narodowych, rozkochują się wielcy klasycy w czystości linii greckiej, starając się w drugiej połowie swej twórczości o wyrobienie w sobie owego spokoju, który podziwiają u Ateńczyków.

Zwrotowi temu zawdzięcza literatura wogóle kilka arcydzieł, napisanych w języku germanów, które nie przyczyniły się jednak wcale do posunięcia wyobrażeń narodu niemieckiego, ani na krok naprzód.

Ta obojętność dla spraw narodowych wywołała reakcyą jeszcze za życia przywódzców klasycyzmu. Obok Goethe'go i Schiller'a powstała nowa szkoła, domagająca się przedmiotów swojskich i myśli któreby trafiły do przekonań współczesnych. Garstka młodych ludzi zbuntowała się przeciw sztucznemu helenizowaniu literatury niemieckiej, przystając do innego sztandaru, którego hasło sformułowało dwóch znakomitych krytyków (bracia Schlegel'owie).

Romantyzmem nazwano ten kierunek.

Romantycy uderzyli równocześnie na drugi rys charakterystyczny klasycyzmu: na przecenione znaczenie «rozumu» w sztuce.

Wiadomo, że Lessing był racyonalistą *par excellence*, a Goethe wielbicielem Spinozy. Nawet Schiller, najserdeczniejszy, najgorętszy i najzapalistszy, skłaniał się do panteizmu, bo wołał:

Nehmt die Gottheit auf in euren Willen,
Und sie steigt von ihrem Weltenthron.

Prawie równolegle obok twórczości klasyków szła działalność filozoficzna Emanuela Kanta. On to prowadził dalej dzieło deistów Albionu i Gallii, on przygotował swą nieubłaganą krytyką późniejszy ateizm, choć cofnął się jeszcze sam przed ostatecznemi wynikami własnych twierdzeń. Dziś wywodzą się z niego zarówno materyaliści, jak pesymiści.

Nad poezyą klasycyzmu unosi się już duch bezwzględnego przeczenia, choć jeszcze ukryty za siedmiobarwnemi tęczami i złocistemi tkankami przepięknego słowa. Mimo osłon, dostrzegło go jednak młode pokolenie i odczuło zimno, które wiało z niego na ludzi mniej uzdolnionych. Bo sam «rozum» może wystarczyć geniuszowi na pewien czas, ale nie da nigdy całemu narodowi ciepła trwałego. Bywa on przezornym, rozsądnym i trzeźwym doradcą, umie dobrze i bystro patrzeć, krytykuje i wyśmiewa znakomicie, lecz nie uszczęśliwia nikogo. Odwrotnie! Wyszydzi on każdy zapał, każde marzenie, każdą tęsknotę. Zrazu butny i dumny, staje się niebawem zgryźliwym, cierpkim, a w końcu bluźnierczym.

Więc zbrzydzili sobie Niemcy jasny, przeźroczy, obosieczny «rozum» i zapragnęli roskoszy uczuciowych. Chcieli znów marzyć, dumać, upajać się poezyą i wierzyć, jak dziecię; chcieli się kąpać w srebrnych miesiąca promieniach, wnikać mistycznie w szelest i rozmowę duchów, płynących na mlecznych niebios szlakach, rozumieć szepty trawek i świergoty ptasząt.

Ta reakcya uczucia przeciw rozumowi jest drugiem głównem hasłem romantyzmu niemieckiego.

Patryotyzm i uczucie podały sobie ręce, aby poprawić, raczej dopełnić programat klasycyzmu.

Zdawałoby się, że tak uprawniony bunt musiał z siebie wydać cały szereg arcydzieł. A jednak stało się inaczej.

Romantycy chcieli być patryotami, niemcami, germanami, lecz — gdzież znajdowała się ta ojczyzna, którą pragnęli opiewać i kochać, gdzież te przedmioty swojskie, które chcieli wcielić w dzieło sztuki? Właśnie przebiegał Napoleon I. ziemie strwożonej Europy, depcząc narody, roztrącając trony, rozkrawając państwa i kraje, niby jabłka. Chylił się przed nim cały świat, korzyły się i Niemcy, tarzając się w prochu. A nie jest rzeczą wieszcza apoteozować klęski i upodlenie.

W teoryi poczęty patryotyzm romantyków, przeraził się rzeczywistości, gdy się jej dotknął i zwinął się w łęk, jak robak, dotknięty stopą nieopatrznego przechodnia. Nie mamy ojczyzny, przeto trzeba cofnąć się wstecz w zamierzchłą przeszłość, — rozskarżono się z żalem na nędzę i czczość teraźniejszości. Tam, w wiekach średnich, wabią do siebie spiżowe postacie rycerzów, ciągnących pod wodzą Hohenstaufów na wschód, do grobu Chrystusa, lub przeciw Rzymowi; tam byli wielcy ludzie i potężne namiętności, godne natchnienia artysty. Ten cały zaczarowany świat złocistych zbroi, pióropuszów, awantur, legend, pobożnych

modłów i zachwytów, wygląda zdaleka, jak cudowna bajka, jak żywy poemat.

Zrażeni do swego czasu, rozkochali się romantycy w wiekach średnich, zapominając rychło o właściwym powodzie tego zwrotu. Co miało być środkiem, co miało pobudzić współczesnych do czynu, do oporu przeciw najezdcy, staje się celem. Poeci rozmiłowują się w poezyi dawnego rycerstwa, w zamczyskach i kaplicach, w awanturach i legendach; a gdy im zabrakło przedmiotów w księgach szlachty, zakutej w stal, szukają innych krain fantastycznych, spieszą się do Arabii, do Indyi, byle nie widzieć upodlenia Niemców z pierwszych lat XIX. wieku. I stało się, że buntownicy, którzy zarzucali mistrzom klasycyzmu wynarodowienie, pragnąc ich w tym względzie poprawić, odbiegli jeszcze więcej od własnego kraju, bo aż nad Ganges.

I druga reforma nie powiodła się romantykom. Synom sprzykrzył się «rozum» ojców; reakcyoniści chcieli wojować z «rozsądkiem oświeconych», zapomniawszy, że byli sami jego wychowańcami, że karmili się jego mędrkowaniem. A czem skorupka za młodu nasiąknie, tem trąci przez całe życie.

Lecz ojców ogrzewało wschodzące dopiero, więc rzeczywiście ciepłodajne słońce, a na synów padały już chłodne blaski zachodzącej gwiazdy XVIII. stulecia.

Romantycy wywoływali przeciw «rozumowi» klasyków, a filozofowie ich: Fichte i Schelling, stawali już na przełomie deizmu i ateizmu, dualizmu i monizmu, choć się tego zapierali.

Już w pierwszej swej pracy (*Versuch einer Kritik aller Offenbarung* 1792) podporządkował Fichte objawienie pod sumienie i rozum ludzki, którym przyznał godność najwyższej instancyi w rzeczach wiary, a kilka lat potem (*System der Sittenlehre*, 1798) stanął bardzo wyraźnie po stronie ateizmu. Jego «*Ich*», ktore wsunął w miejsce kantowskiego «*das Ding an sich*». nie znajduje się w żadnym związku z Bogiem objawienia.

Jeszcze jaśniej tłomaczy się drugi filozof romantyzmu, Józef von Schelling, utożsamiający stworzenie z Stwórcą. «Natura ma być widomym duchem, a duch niewidomą naturą» (*Ideen zu einer Philosophie der Natur* 1797 i *Von der Weltseele* 1798). «*Die Weltseele*» Schelling'a, zastępująca fichtowskie «*Ich*», jest tą samą siłą, którą później materyą nazwano. Zmieniło się tylko nazwisko — nic więcej.

Romantycy przędli dalej nić krytyczną, choć łudzili się, wmawiając w siebie wiarę pozytywną, której mieć nie mogli. Łajali klasyków za racyonalizm, a pozbawiali się sami nawet resztek dawnej religii, bo deizmu. Wprawdzie oburzył się Fichte, gdy mu zarzucono ateizm, a przecież wysnuli poeci właśnie z jego teoryi ową «ironję romantyczną» (*romantische Ironie*), owego cynicznego chochlika, który żył w końcu tylko przeczeniem dla samego przeczenia.

Zatrute było serce ich od powicia, skrzywiona myśl ich od pierwszej chwili samoistnego lotu. Romantycy chcieli wierzyć a nie mogli, chcieli czuć, kochać, a nie umieli; chcieli się zachwycać, zapalać unosić, a «ironia» nie pozwalała im zapomnieć o kłamstwie, o niemocy ich własnych formułek. Więc tęsknią, szukają, błądzą przez całe życie po manowcach i bezdrożach, nękani zwątpieniem, rozciągani na łożu Prokrusta kleszczami niedościgłych pragnień.

Nieufający rozumowi, a niezdolni do wielkich uczuć i namiętności, wynajdują sobie inny bodziec do twórczości poetyckiej. «Cała poezya polega na tem — uczy Fryderyk von Schlegel — aby zniszczyć porządek wynikliwie myślącego rozumu i przenieść się w cudowne krainy wyobraźni, w pierwotny chaos natury ludzkiej». Bo «wszelkie ograniczenie fantazyi przez rzeczywistość jest zbezczeszczeniem istoty człowieka, jest utratą jego przyrodzonej nieskończoności.» A właśnie nazywamy romantycznością to, co «przedstawia przedmiot sentymentalny w formie fantastycznej.»

W myśl powyższych formułek rozwadniają romantycy uczucie, za którem tęsknili, w uczuciowość, w czułostkowość, a znienawidzony rozum zastępują siłą wręcz przeciwną, bo fantastycznością.

Człowiek trzeźwy, zmęczony nadmierną pracą umysłową, zapragnie czasami marzenia o «niebieskich migdałach», przenosząc dziwaczną baśń nad ścisły, logiczny traktat. Romantyzm niemiecki robi też rzeczywiście wrażenie wybryku po wysileniu się świetnej epoki literackiej. Żaden z tych ludzi nie miał świadomości programatu szkoły, żaden nie wiedział, czego właściwie chce, dokąd dąży. Jak ćma, która sobie skrzydła o płomień światła opaliła, rozbijają się epigoni klasycyzmu o ściany rzekomej katedry gotyckiej, którą sobie odbudowali, aż padają w końcu na ziemię, skuliwszy się apatycznie.

Zbyt wyszrubowane znaczenie wyobraźni, będącej alfą i omegą całej twórczości romantycznej, musiało unicestwić wszystkie dodatnie strony uprawnionej zkądinąd reformy. Patryotyzm zeszedł na bezmyślnego wielbiciela wieków średnich, na opiewacza zewnętrznej, poetycznej strony owych błyskotliwych, jaskrawą suknią strojnych czasów. Niebawem zajmowały romantyków legendy i zwyczaje rycerstwa daleko więcej, aniżeli właściwy koloryt i dodatnia spuścizna usiłowań samej szlachty. Nie rozumieli oni nawet w końcu ducha epoki Hohenstaufów, nie odczuli dziejowego posłannictwa butnych «ritterów», zachwycając się tylko ich zamczyskami, przyczepionemi do szczytów gór, niby gniazda orle. Jedynym skutkiem dodatnim, wykwitłym pośrednio z marzycielstwa romantyzmu, jest początek rozwoju filologii germańskiej, czyli zebranie olbrzymiego materyału dla późniejszych gramatyków i historyków literatury. A chyba nie o takich owocach swej pracy myśleli... poeci.

Bezwzględni czciciele wyobraźni nie odświeżyli także swego narodu potokami uczucia, bo uczucie, jeśli ma działać, musi być naturą, a prawdy nie odtwarza się jedynie za pomocą fantazyi artystycznej. Potrzeba tu potrosze i spostrzegania, czyli czynności rozumowej. Romantycy zaś brzydzili się wszystkiem co przypominało choćby zdaleka rozsądek. Przeto zanurzyli się skwapliwie w lśniącem, blaskami księżyca opromienionem morzu baśni i sentymentalnych zachwytów, przeto zamknęli powieki, aby nie widzieć tej «brzydkiej rzeczywistości,» której badanie nie sprawiało im przyjemności. Wydobyli oni na światło dzienne cały świat mistyczny Germanii, Arabii i Indyi, oczyścili wszystkie legendy przeszłości z pyłów kilku wieków, bawiąc siebie i naród opowiadaniami o duchach i strachach, o smokach i potworach, roskoszując się niemowlęcą poezyą pierwotnej wyobraźni.

I w tym razie skorzystała tylko nauka, mianowicie historya literatury, której romantyzm ułatwił poznanie starodawnych pomników piśmiennictwa niemieckiego.

Rozdziwaczenie fantazyi musiało w koncu wpłynąć i na zaniedbanie formy. Lessing, umysł bystry i systematyczny, nauczył znów Niemców odróżniać dramat od powieści, lirykę od epiki. Konieczność uwzględniania przepisów, odnoszących się do różnych rodzajów poezyi, uszanowali klasycy. Lecz romantycy drwili sobie z wszelkich prawideł «rutyny», twierdząc, że: fantazyi wolno się wyrażać, jak jej się tylko podoba. Więc, gdy sobie romantyk uwidział, przeplatał komedyę liryką i dydaktyką, legendą i scenami epicznemi, a powieść «urozmaicał» ustępami dramatycznemi. Ta samowola wydała wprawdzie niejeden piękny zwrot, niejeden oryginalny wiersz i rym, lecz nie wpłynęła wcale na rozwój poezyi w ogóle.

Główne hasła romantyków spowodowały w końcu niesłychany zamęt pojęć i form. Słuszna w zasadzie reforma stała się czczą

igraszką słowa, gonitwą za szybką z okna, za gwiazdką z nieba, za promieniem księżycowym. «Niebieskim kwiatem» (*Die blaue Blume*) nazywali romantycy ten wymarzony ideał, niezrozumiały, jak jego imię.

A po nad tym chaosem unosiła się t. z. «ironia romantyczna,» ubóstwiana przez samych wyznawców szkoły, a podziwiana przez niewtajemniczonych. «Niebieski kwiat“ i «ironia» są dotąd nazwami mistycznemi, z którerni sobie historycy literatury nie umieją poradzić.

Filozofowi Fichte'mu nie podobało się kantowskie «*das Ding an sich*», jako coś niewyraźnego, zanadto abstrakcyjnego, «*Ich*» jest podług niego początkiem i końcem wszystkiego, absolutem, punktem Archimedesa, a cały kosmos stanowi «*Nichtich*».

Romantycy, niezdolni do ukochania wiary objawionej, a gardzący samolubstwem racyonalizmu, potrzebowali jakiejś nowej formułki, i dlatego rzucili się chciwie na teoryę Fichte'go, «*Ich*» — to umysł człowieka królujący nad kosmosem, a «Nichtich» — to stworzenie tak boskie, jak ludzkie, — powiedzieli sobie. «Człowiek, będący ojcem własnych kreacyj, ma prawo zniszczyć je, albo wyśmiewać i wyszydzić.»

Oto owa mistyczna «ironia romantyczna.» Jestto po prostu zwykły cynizm rozbitków, pospolite naigrawanie się ludzi z czegoś, co sami zrobili, w co jednak nie wierzą. «*Ich*» tworzy i śmieje się z swych tworów; «*Ich*» buduje i obraca całą swą pracę w niwecz, gwoli własnej i gawiedzi uciesze.

Jeden z doktrynerów szkoły romantycznej, Ferdynand Solger, określa swą «ironię» bardzo dobrze, mówiąc: wielki, niezmierzony smutek ogarnia nas, gdy widzimy, że każda idea marnieje w swej powłoce zmysłowej, że niema nic trwałego pod słońcem. Człowiek myślący stoi ponad całem stworzeniem, i obejmuje wzrokiem swym jego nicość, a ten «*wzrok, który wszystko druzgocze zowiemy ironją.*»

Ten «wzrok», który wszystko druzgocze, to krytyka epigonów, to początek pesynizmu, nadchodzącego po każdem przesileniu się rozumu, ufającego tylko sobie. Ten «wzrok,» to żal jednostki po utraconym raju wiary pozytywnej, to tęsknota za punktem oparcia na zewnątrz. «Ironia romantyczna» była właśnie ową trucizną, która zakaziła serca «patryotów,» iż nie znalazł się zrazu między nimi ani jeden Tyrteusz, któryby nawoływał naród do czynnego oporu; była owym duchem przeczenia dla samego przeczenia, który nie pozwolił im wznieść się w przeźroczne etery potężnej twórczości artystycznej, ani zmieszać się z tłumem, była klątwą ich życia publicznego i prywatnego.

Bo i w prywatnem życiu romantyków odgrywa fantastyczność główną rolę. Klasycy pogardzili w drugiej połowie swej działalności «tłumem», a kaprys ten pochwycili romantycy, prawiąc pysznie: nie śpiewamy dla «hołoty.» Nietylko nie śpiewali dla «hołoty», lecz postanowili «żyć zupełnie inaczej», niż zwyczajni ludzie, tem więcej, że znalazł się nawet filozof, który zachcianki ich teoretycznie uzasadnił. Oto oświadczył bowiem Schelling, że: «natury wybrane mają prawo wznieść się ponad zdawkową moralność, obowiązującą tylko gawiedź. Była to oczywiście woda na młyn ludzi, potrzebujących odurzyć się w uciechach zmysłowych po utracie reszty złudzeń.

Wkrótce też zaczęli sobie romantycy hulać, jak żadna szkoła literacka przed nimi. Już o Wajmarze, siedlisku klasycyzmu, mawiał Jan Paweł: nikt nie szanuje tam ślubów małżeńskich! Słowa te odnoszą się daleko więcej do Jeny i Berlina, gdzie przebywali przywódzcy romantyzmu. «Obrońcy uczucia» podają sobie z rąk do rąk swe żony, niby martwe sprzęty, a jeden z początkodawców kierunku, Fryderyk von Schlegel, apoteozuje próżniactwo, bezczelność i t. z. wolną miłość (*Lucinde* 1799).

Cała ta komedya kończy się nareszcie bardzo smutnie. Bracia Schlegel'owie zostają bigotami, choć tylko «*par prédilection d'artiste,*» tak samo Zacharyasz Werner; inni, jak Henryk von Kleist, odbierają sobie życie; jeszcze inni ulegają w kwiecie młodości nadużyciu rozpalających napojów, reszta zaś ginie marnie w taki lub inny sposób. «Ironia romantyczna», prawe dziecię «rozumu oświeconych», zrobiła swoje...

Wśród śmiechów i szyderstw jej wychowywał się Henryk Heine (od r. 1800—1820). Czas, w którym się późniejszy autor «Księgi pieśni» rozwijał i kształcił, wypełnia właśnie rozkwit i upadek romantyzmu. Skutki tych wpływów przejawiły się w jego pierwszych utworach i odzywały się w jego pracach przez całe życie.

Romantyzmowi zawdzięcza Heine przepiękną, błyskotliwą dykcyę i kapryśny, oryginalny wiersz, drwiący sobie z wszelkich przepisów poetyki. Już w «*des Knaben Wunderhorn*» Achima von Arnim i Klemensa Brentana, spotykamy te same rymy i rytmy.

Pił także Heine z mętnego źródła «ironii romantycznej» i zatruł się tym jadem, sączącym z rozkładającego się trupa «oświecenia». Jego «weltszmerc» (*Weltschmerz*) jest dalszym ciągiem «ironii».

Wróg wieków średnich, przedrzeźniacz romantyzmu, przyznaje się jednak przy schyłku życia (*Geständnisse*, tom XIV, str. 213) do tego, że: «był mimo swych namiętnych wycieczek przeciw romantyzmowi, zawsze sam romantykiem.» Na łożu boleści przypomniał sobie Heine ideały swej pierwszej młodości i oznaczył stanowisko swoje sam najlepiej.

Ciąg dalszy nastąpi.

U WRÓT SZCZĘŚCIA.

Dramat w I-ym akcie, wierszem,

napisany oryginalnie przez *Jul. Ad. Święcickiego.*

OSOBY:

Wacław.
Helena, jego narzeczona.
Krysia, jej służąca.
Artur, artysta-malarz.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu rodziców Heleny.

SCENA I.

Gabinet elegancko urządzony — po lewej wielka toaleta ze zwierciadłem, po prawej stalugi.

HELENA i KRYSIA.

HELENA.

(*w stroju balowym stoi przed zwierciadłem, przyglądając się z zachwytem szczegółom swej toalety.*

Więc twierdzisz, że mi bardzo w tej sukni do twarzy?..

KRYSIA.

Okropnie!..

HELENA (*nie rozumiejąc*).

Co?......

KRYSIA.

Tak pięknej widzieć się nie zdarzy
Jak panienka!.....

HELENA (*promieniejąca*).

O suknię idzie mi w tej chwili.

KRYSIA.

Prześliczna!.. Oko moje nigdy mnie nie myli.

HELENA (*ciągle patrząc w lutsro*).

Czy trochę nie zaskromna?.....

KRYSIA.

To królewska szata!....

HELENA (*upojona swoim widokiem*).

Jestem w niej taka lotna..... przejrzysta..... skrzydlata!.....
(*po chwili*) Wyglądam trochę blado, prawda Krysiu!....

KRYSIA.

Nieco!....

HELENA (*z wewnętrznem zadowoleniem*).

Ale oczy!........

KRYSIA (*filuternie*).

A! oczy jak gwiazdy się świecą!....
(*po chwili*) Szkoda na dziś tej sukni! . . . .

HELENA (*odchodząc od zwierciadła*).

Szkoda?.. a to czemu?....

KRYSIA.

Wartoż się w takim stroju pokazać jednemu
Lub dwom gościom!.. (*pogardliwie machnąwszy ręką*) To marność!..

HELENA (*z uśmiechem*).

Kokietka przebrzydła!..
(*po chwili patrząc znów w zwierciadło*).
O gdyby Bóg mi teraz dał dwa jasne skrzydła!....

KRYSIA (*szybko jakby podchwytując myśl pani*).

To by panna do wszystkich chłopców poleciała!..

HELENA (*z gniewem*).

Idź za drzwi!.. (*Krysia wybiega*).
Wiecznie gniewa mnie ta gąska śmiała.

SCENA II.

(sama, chodząc w zamyśleniu po pokoju).
Ten wewnętrzny niepokój coś złego mi wróży!..
(*po chwili*) Śmieszna jestem... wciąż senne wspominać widziadła
Kiedy niebo bez chmurki — ja lękam się burzy.
Dziecinstwo!.. (przegląda się) Nie na żarty twarz moja [pobladła!..
(*z gestem niecierpliwości*). Pan Artur nazbyt długo oczekiwać każe.
Strasznie nudny!.. jak zwykle artyści malarze!..
(*p. chw.*) Że tego posiedzenia Wacław nie pochwali,
To pewna!.. Dziwak... (patrząc w lustro) Usta mam [dzisiaj z korali!..
(*p. chw.*) Czy też Zdzisław dziś przyjdzie?.. pewnie go przestraszy
Zaręczyn moich fama!.. Znajomości naszej
Kres położy z pewnością!.. Szkoda!.. Chłopiec gładki...
Więcej nawet niż Wacław miał szczęścia u matki!..
(*p. chw.*) I Alfred bywać przestał!.. Do tańca jedyny!..
(*z westchnieniem*) Żal mi go!.. (z giestem niezadowolenia).
A radziłam taić zaręczyny!..
Wieść ta najniepotrzebniej rozniosła się wszędzie!..
(*przed lustrem*) Mogą mi takiej szyi zazdrościć łabędzie!..
(*z trwogą*) Znów mi sen widziadłami dręczy serce chore!..

SCENA III.

HELENA i WACŁAW.

WACŁAW (*całując w rękę Helenę*.

Witam Panią!...

HELENA (*zmięszana*).

Pan Wacław!..

WACŁAW.

Czy może nie w porę!..

HELENA (*odzyskawszy swobodę*).

Cóż znowu?.. Owszem!.. dzięki składam ci mój panie,
Żeś swem wejściem zakończył moje rozmyślanie,
Rozprószył smutne wizyje udręczonej głowy?...

WACŁAW (*przyglądając się Helenie*).

Jak pogodzić ze smutkiem ten kostium balowy?....
Wyglądasz, jakbyś miała w wir tańca szalony
Lecieć — grzmotu oklasków żądna i korony!..

HELENA (*pieszczotliwie*).

Mylisz się pan... dziś z falą dźwięków nie popłynę!....
W tym stroju błyszczeć będę tylko przez godzinę!....

WACŁAW.

A to czemu?... (*siadają*).

HELENA (*obojętnie*).

Pan Artur!.. znasz go doskonale
Nudna lalka!.. w zbytecznej grzeczności zapale
Męczy mię, bym swój portret zrobić pozwoliła.
Odmówić niepodobna....

WACŁAW (*z odcieniem ironji*).

Tak!.. to rzecz niemiła!..

HELENA.

Tem więcej, że z Artura malarz znakomity,
Szczególniej też mistrzowsko maluje.....

WACŁAW (*podchwytując*).

Kobiety!....

HELENA.

Portrety w ogólności!.....

WACŁAW.

Nigdy nie słyszałem
By je kiedy malował......

HELENA (*broniąc się*).

Przeciwnie z zapałem.
Dzisiaj sztuce portretów poświęca się nowej!....

WACŁAW (*z naciskiem*).

Od dzisiaj!.. O nie przeczę!..

HELENA (*przymilając się coraz bardziej*).

Otóż strój balowy
Przywdziałam (*patrząc mu w oczy z kokieterją*).
Pragnąc szczerze podobać się tobie.

WACŁAW.

Czyż ja będę malował?...

HELENA (*j. w.*)

Ależ ku ozdobie
Naszej wspólnej siedziby ten portret zostanie.
Będziesz go nieraz wzrokiem pochłaniał, mój panie!..
(*widząc zmarszczone czoło Wacława*). Chmurzysz się?.. Czy pan [Wacław nie rad tej nowinie?..

WACŁAW (*nie odpowiadając na pytanie*).

Chciałbym wiedzieć, zkąd smutek pani dzisiaj płynie,
Gdy jej duszę ten portret tak wzniośle nastraja?..

HELENA.

Zkąd smutek?.. to upiorów sennych straszna zgraja,
Co mózg mój niepokojem pożera i toczy!..
Przed tą wizyją strwożone wciąż zamykam oczy,
A ona gdzieś z piekielnych otchłani powraca.....

WACŁAW (*ze współczuciem*).

Mogęż smutek rozproszyć?..

HELENA.

O nie!.. próżna praca!..

WACŁAW (*sucho*).

Przepraszam!.. (*po chwili*). Niechaj pani swą troskę powierzy
Mamie... ojcu... (*dobitnie*) któremu z orszaku młodzieży!...

HELENA (*zapominając się*).

Pan żartujesz!.. toć u nas prawie nikt nie bywa,
Takie pustki!.. (*opamiętawszy się*) Co ja też mówię nieszczęśliwa!
Panu przecież opowiem sen, co mię przeraża!..

WACŁAW (*zimno*).

Mnie przypuszczać do swego tajemnic ołtarza?..
Zkąd ta łaska?....

HELENA.

Nie pora żartować, Wacławie!..
Posłuchaj, powiem wszystko, choć serce zakrwawię,
Gdy obraz dziwactw pełen twym oczom odsłonię.
Śniłam, że w nimbie blasków spoczywam na tronie,
Z oznak czci, które bogom karne ludy czynią
Poznałam, że los we śnie zrobił mię boginią!..
U stóp moich pogańska płynie ludu fala,
Każdy bije mi czołem... kadzidła rozpala
I gorących uwielbień chór do mnie zasyła.
Gdy się tak rozmodlona korzy ludu bryła,
Z ołtarza, samolubną odurzona chwałą
Zwiastuję, że mi jeszcze tych hołdów za mało!..
Że w proch ludy rozsypie zemsty mojej burza,
Nagle, postać mężczyzny z tłumu się wynurza
Potok słów w piersi jego leje się natchnionej
Całuje kraj mej szaty... uderza pokłony
I moschu woniejące rozpala płomienie.
Gdy wciąż świeżych wonności żądna nieskończenie
Z namiętnością pochłaniam myrry obłok siny,
Tracę zmysłów potęgi i niebios wyżyny
W niezgłębione Erebu upadam otchłanie!..
(*zdaje się przysłuchiwać czemuś—po chwili, zapominając o wrażeniu*)
Zdaje mi się, że słyszę jakieś powitanie...

WACŁAW (*pod wrażeniem*).

Na tem koniec?

HELENA (*j. w.*)

Nie!..

WACŁAW.

Prędzej!..

HELENA (*j. w.*)

Ktoś rozmawia w sali!..

WACŁAW (*zniecierpliwiony*).

Zdaje ci się!.

HELENA (*podnosząc się*).

Zobaczę (*patrząc przez drzwi po lewej*) pustka!..

WACŁAW.

I cóż dalej!....

HELENA (*siadając*).

Ogrom trwogi wywołał snów moich odmianę,
Zniknął przepych tronowy i wizye świetlane.
Śniło mi się, że losów przekleństwem ścigana
Szłam pustynią bez ojca... bez matki... (*patrząc na Wacława*) bez [pana!..
Sama jedna, z brzemieniem piekielnej rozpaczy,
Niosłam w piersiach zgryzotę... w ręku kij tułaczy.
A idąc, pożądałam w pustyniach bez końca,
Choć jednej łzy człowieczej... lub uśmiechu słońca!..
Biegłam tak lata całe w szalonej pogoni
Bezwładna i posłuszna tajemniczej dłoni,
Co mię w otchłań strąciła nieprzepartą siłą.
Aż nagle serce moje radością zabiło
Patrzę — łuna ognista; przyglądam się zbliska
Milijon ludzkich gromadek... każda u ogniska...
Tu się w pracy krzątają... tu w spoczynku leżą...
Tam wesoły rozbrzmiewa gwar między młodzieżą,
A zewsząd jakiś spokój nadziemski przebija.
Z bezmiaru trudów padam, czołgam się jak żmija
I błagalne ku ludziom wyciągając dłonie,
Żebrzę iskierki ognia, co pożarem płonie.
Lecz gdy na prośby moje ludzie skamieniali,
Własnego mi ogniska poszukać kazali,
Wlokę się ciągle naprzód skrwawiona i biedna,
Wszędzie jedno pytanie... i odpowiedź jedna!..
Przebiegłam niegościnnych ognisk miljony,
Nikt lichego zakątka nie chce dać wzgardzonej,
I sierotę z bezdusznym spokojem oddala.
Wreszcie krwawa mi z oczu ginie świateł fala.
Znów staję na dawnego nicestwa krawędzi,
Znów mię dłoń tajemnicza w nieskończoność pędzi,
Boże, wołam śród trwogi, co duszę uciska
Daj mi śmierć, gdy własnego dać nie chcesz ogniska!!..
(*W czasie tego opowiadania twarz Wacława mieni się widocznie i pokrywa bladością*).
Wacławie, czemu bladość twe lica pokryła?....

WACŁAW (*jakby do siebie*).

Sen szczególny!.. Wypadków tajemnicza siła
Wątek myśli człowieczych cudownie kojarzy!..

HELENA (*niespokojnie*).

Straszną wróżbę dla siebie czytam z pańskiej twarzy,
Uspokój mię, Wacławie!...

WACŁAW (*po wewnętrznej walce*).

Dość tego wahania!..
Sen twój do stanowczego kroku mię nakłania
Muszę wyznać nareszcie.....

HHLENA (*gorączkowo*).

Dręczysz mię Wacławie!..

WACŁAW (*kończąc*).

Że pierwszą część snu twego oglądam na jawie!..

HELENA.

Nie rozumiem!..

WACŁAW.

Heleno!.. te sny ciebie winią,
Ciebie, coś jest pogańską na ziemi boginią,
Co tak pragniesz dla zmysłów... (*wzdryga się ze wstrętem jakby nie mógł wyrzucić z piersi dławiącego wyrazu*).

HELENA.

Twój głos mię przeraża!..
Czegóż tak zmysły me pragną, powiedz!..

WACŁAW (*z wysiłkiem*).

Trybularza!..

HELENA (*zimno*).

Co znaczą te pociski?..

WACŁAW.

Wybacz, droga pani!..
Niechaj szorstkość słów moich duszy twej nie rani.
Wieki męczarń przeżyłem, choć cierpię niedługo,
Więc żal z piersi ognistą wylewa się strugą.
Pragnę, by serca nasze raz się zrozumiały
W ich sprawie głos podnoszę!.....

HELENA (*zimno*).

Głos trochę za śmiały!..

WACŁAW.

Więc z podejrzeń otchłani wyprowadź mię zdradnej!..

HELENA (*j. w.*)

O! tym razem nie myślę grać roli Aryjadny!..

WACŁAW.

A ja czy mogę mówić!....

HELENA.

Możesz pan.. swobodnie!..

WACŁAW.

Chcę jasną do twej duszy wprowadzić pochodnię,
Ażebyś przy jej blasku swój portret ujrzała.

HELENA (*sucho*).

Nie przeszkadzam — pragniesz pan, więc milczę jak skała.

WACŁAW.

Dwa lata od tej chwili pamiętnej upływa,
Jak serc naszych braterskie splotły się ogniwa.
Nie trwałością błyskawic — nie wyrostka szałem,
Ja cię więcej niż własne szczęście ukochałem!
Czy w swej chacie nad księgą ślęczę pochylony,
Czy wśród dźwięków balowe przebiegam salony,
Czy z energiją cel życia ścigając jedyny,
Chcę skroń, niby w dyjadem, przyozdobić w czyny.
Czy się krwawię na drodze żywota ciernistej,
Czy los we mnie nadzieji zdrój wznieca przeczysty,
Czy się budzę, czy senne zamykam powieki,
Czym od tych miejsc najmilszych bliski czy daleki,
Wszystkie trudów zdobycze i wszystkie zabiegi
Niosę tobie — co pierś mą wypełniasz po brzegi.
Coś mi gwiazdką najmilszą w świecie i jedyną!..
Oddźwięki takiej nuty czyż kiedy wypłyną,
Czy się zbudzą w twej duszy młodością bogatej?..
Jam ci się cały oddał, droga..... A ty?.. a ty?!..

HELENA.

Ciebie przecież wybrałam, z wielu innych grona.

WACŁAW.

To niedosyć!.. tu czara życia nie spełniona.

HELENA.

Wszakże ja kocham pana!..

WACŁAW.

Tem się nie uwodzę,
Bratnie serca na wspólnej jednoczą się drodze,
A nas dotąd rozdziela przepaść niezgłębiona.

HELENA.

Tak pan mniemasz?....

WACŁAW.

Tak twierdzę.

HELENA.

Słowo nie przekona.

WACŁAW.

O powiedz, czy raz chociaż chwila ślubu bliska
Skierowała myśl twoję do tego ogniska,
Przy którem spędzić życie mamy z dłonią w dłoni,
Czy bratasz się z przyszłością — czy sposobisz do niej? —
Czy z ust twoich raz jeden wybiegło pytanie,
Co na grobie młodzieńczych iluzyj powstanie?
Jakich pragnień wspólnością wieczystą złączeni,
Mamy życie z serc naszych wytworzyć promieni.
Powiedz, droga, czy kiedy pytałaś mię o to?..
Lecz z jakąż nieustannie wspominasz ochotą,
Że na balu ci godność przyznano królowej,
Że chórem podziwiano twój kostium balowy,
W nieskończonych rozmowach -- ach!.. ileż to razy
Tłumiąc ból, byłem świadkiem rozpacznym ekstazy,
Którą tryumf balowy zrodził w twojej głowie.

HELENA.

Czyż bawić się to zbrodnia?..

WACŁAW.

Tego nikt nie powie!..
Lecz dla tańca o wszystkiem zapomnieć na świecie,
Z ogniskować myśl młodą w balach, w toalecie,
Na wielkie życia cele zarzucać oponę
By gonić to, co próżne... zdobywać wzgardzone!..
Na bezmyślnych zabawach trwonić doby całe,
Drżeć o marny komplement... o głupca pochwałę.
W lustrze blask własnych oczu śledzić godzinami,
Zwać fraszką obowiązek, pracę... torturami!...
W próżność i kokieterję rozrastać się z wiekiem,
Być cackiem... lalką... sprzętem... lwicą — nie człowiekiem!..
Strwonić młodość, zamiast ją spożytkować godnie.
Oto co za występek uważam... i zbrodnię!..

HELENA.

I pan tak o mnie myśląc kochasz do tej pory?..

WACŁAW.

Łudzę się... nagą prawdę biorąc za pozory...
Miljon razym zwątpienia wręcz odpychał jady,
Usiłując we własnych zmysłach szukać zdrady.
Nieraz w konwulsyjach męki, wijąc się jak zwierzę
Wołałem: ona lalką?!.. Nie wierzę... nie wierzę!...
Lecz wszystko ma granice!.. Dzisiaj ty jedynie
Mogąc sama o własnej wyrokować winie,
Jednem słówkiem rozjaśnisz ducha mego ciemnie,
Wypowiedz je Heleno!..

HELENA (*z dumą*).

Nalegasz — daremnie!..

WACŁAW.

Jeżeli serca nasze zbratać się nie mogą,
Jeśli każde z nas inną pragnie kroczyć drogą;
To pocóż mamy wspólnie wlec życia okowy!!..
Niechaj przeszłość skrysztali się w sen brylantowy
A jutro — da letejską zapomnienia siłę!..

HELENA (*wzruszona*).

Więc panu więzy nasze tak bardzo niemiłe,
Że pragniesz je rozerwać?..

WACŁAW.

W imię twej przysłości!..
Niechaj szczęście w twem sercu stale się rozgości!..
Baw się... zbieraj tryjumfy... świat czaruj urokiem...
Zmysły w źródle próżności zatapiaj głębokiem,
Dopóki olimpijskiej nie sięgniesz korony!..
Ja pójdę w świat sieroco!..

HELENA (*rzucając mu się na szyję*).

Bezemnie szalony!..
Dość tych męczarń, Wacławie, ufaj memu sercu,
Tylko z tobą na ślubnym chcę stanąć kobiercu,
By na wieki podzielać jednę życia dolę:
Już ci się odtąd nigdy łajać nie pozwolę,
(*pieszczotliwie*) Już Helcia na gniew swego pana nie zasłuży.

WACŁAW (*wesoło*).

Daj nam Boże w tej zgodzie wytrwać jak najdłużej!..
O jakże sen twój teraz szczerze błogosławię,
On mi spokój przynosi!..

HELENA (*robiąc miejsce koło siebie na kozetce*).

Siadaj tu Wacławie!..
(*Wacław siada*). O tak!.. bliżej cokolwiek!.... Czemuż tak zdaleka!..
(*żartobliwie*) Pan dobrodziej już teraz odemnie ucieka,
Co to będzie po ślubie!..

WACŁAW (*biorąc ją w objęcia*).

Żartuj sobie ze mnie
Daremnie chciałabyś mię odepchnąć... daremnie..
Nic z tego!.. tak daleko twa władza nie sięga!..

HELENA (*oparłszy głowę na jego ramieniu i patrząc mu w oczy*)

Kochasz mię?..

WACŁAW (*z zapałem*).
Ile może serc ludzkich potęga!..
Jedna jeszcze miłości tej iskierka mała
Jużby mi pierś nadmiarem potęgi strzaskała!..
HELENA (*namiętnie*).
Tak, to dobrze!.. O dzięki... dzięki ci, mój miły!..
Bodaj wiecznie te żary pierś twoją paliły!..
Ty tak musisz mię kochać... ja chcę być kochana,
Pragnę w tobie mieć męża... kochanka i pana!..
(*z cicha*) Zimno mi!.. a patrz ogniem tryska moje czoło!..
WACŁAW (*całując ją w czoło*).
Śpiewaj, śpiewaj, ptaszyno... szczebiocz mi wesoło!..
Póki słów elektryczne przenika nas drżenie,
Póki źrenic się naszych jednoczą promienie,
Dopóki prądy uczuć: iskra po iskierce
Razem z falą oddechu płyną z serca w serce,
Póki wiara do wspólnej ufności nakłania,
Chciałbym w twoim uścisku dożyć... zmartwychwstania!..
HELENA.
Szczęście moje słowami wyrazić się nie da!..

Dokończenie nastąpi.

Uniwersytet w Frajburgu Bryzgowskim.

ZE WSPOMNIEŃ LAT UBIEGŁYCH.

Dzisiejsza młodzież nasza mająca dwa polskie uniwersytety, krakowski i lwowski, lwowską politechnikę, krakowską akademją techniczną i akademją sztuk pięknych, prócz szkół rolniczych i innych zakładów, może być obojętną dla zagranicznych akademij. Będzie ją wprawdzie interesować umiejętność, nauka i sztuka, w innych krajach uprawiane, ale nie wewnętrzne stosunki szkół tam istniejących.

Dawniej nie byliśmy w tak szczęśliwem położeniu. Krajowe zakłady na niskim stały stopniu, a kto mógł szukał na obczyźnie oświaty. Wyjątkowo udawano się do Anglii, Belgii lub do Paryża (w ostatniem mieście zwykle do ecole centrale), technicy szli do Karlsruhe, rolnicy do Hohenheim lub do Eldeny, artyści do Monachium, największa zaś liczba żądna ogólnego wykształcenia szła do Wrocławia, Berlina, Bonn, Heidelberga, a kilku do Frajburga. Litwini zaś odbywali swe nauki w Dorpacie. Ztąd poszło, że wtedy wielce się u nas niemieckimi zajmowano uniwersytetami, tem bardziej, że naówczas chętnie uczono się niemieckiej filozofii spekulacyjnej, szczególnie zaś owej Hegla, tego ostatniego jej arcykapłana.

I mnie też wysłano do Frajburga w W. księstwie badeńskiem zwanego im Breisgau, dla rożnicy od szwajcarskiego i tam na nauce prawa i filozofji trzy lata przepędziłem.

Lecz zanim tutaj wspomnienia z owego czasu w krótkości zestawię, zdaje mi się potrzebnem o niemieckich uniwersytetach w ogolności słów kilka powiedzieć.

Charakterystą ich jest tak zwana «wolność uniwersytecka» (die akademische Freiheit). Zasadza się ona na:

1. *Wolności nauczania*. Pod takową rozumie się, że profesorowie wprawdzie przez rząd, ale według wyboru, lub przedstawienia akademickiego senatu, mianowani, stosownie do swego uznania i przekonania i podług własnej metody, powierzony sobie przedmiot wykładają. Ztąd pochodzi, że nieraz np. nazwa logiki lub prawa natury bardzo rozmaite obejmuje materje. Rządowi przysługuje jedynie prawo przenieść w stan spoczynku profesora, którego kierunek zbyt mu jest przeciwnym.

Ku szerszemu rozwinięciu wolności nauczania służy także instytucja docentów prywatnych, nie pobierających oprócz czesnego przez słuchaczy za frekwentowanie kolegiów uiszczanego, żadnej płacy rządowej. Urządzenie to bowiem umożebnia, że pewna nauka może na tym samym uniwersytecie jednocześnie być w różnych kierunkach wykładaną.

2. *Wolności uczenia się*, czyli na swobodzie ucznia w obieraniu sobie nietylko uniwersytetu, ale i profesora, jeżeli dwóch lub więcej tenże przedmiot traduje, a niemniej na wolnym wyborze kolegiów i ustanawianiu chronologicznego porządku, w jakim je słuchać zamierza, na *pewnych przywilejach prawnych*, czyli tak zwanem obywatelstwie uniwersyteckiem (akademisches Buergerrecht). Każdy imatrykulowany uczeń jest de facto już Civis academicus i nie podlega żadnym władzom prócz akademickiego senatu i właściwego swego sędziego (Universitaets-Amtmann). Ten ostatni wystawia mu na żądanie paszport do podróży nawet za granice kraju [1]), on jest sędzią policyjnym, gdy rządowe organa bezpieczeństwa nie mogą akademika aresztować, lecz mu tylko jego kartę legitymacyjną odbierają, którą wraz ze swą skargą sądowi uniwersyteckiemu odstępują. W sprawach kryminalnych on sędzią instrukcyjnym i on za zatwierdzeniem senatu orzeka o przekazaniu postępowania prokuratorowi rządowemu i o jednoczesnej utracie akademickiego obywatelstwa. On sądzi w sporach cywilnych, według ustaw specyalnych (które np. tylko w pewnej ograniczonej mierze dozwalają akademików o długi pozywać). On także jest dla nich notaryuszem.

3. Wreszcie na pewnych *zwyczajem uświęconych objawach życia studenckiego*. Tu przedewszystkiem wymienić potrzeba zupełny brak kontroli co do pilności uczniów.

Jedynie stypendyści i konwiktorowie obowiązani są do odbywania Colloquiów ze słuchanych przedmiotów. Inni winni co półrocze uczęszczać przynajmniej na jedno philosophicum oprócz kolegiów fachowych. Z uczęszczania na wszystkie przepisane wykłady wykazują się frequentacyami wtedy, gdy się do rządowego egzaminu zgłaszają. Ten dopiero wyświeca czy dobrze czasu na uniwersytecie przepędzonego użyli.

Tu należą towarzystwa studenckie, na niektórych uniwersytetach, np. bawarskich prawnie istniejące, na innych, jako niezakazane, przez władzę ignorowane. Rozróżniać je jednak należy od słusznie zakazanych i surowo karanych związków tajemnych.

Zastanawiając się jednak bliżej nad tymi czterema czynnikami wolności uniwersyteckiej, przyjdziemy do przeświadczenia, że się one jako spuścizna dawnych wieków dotąd przechowały. Jak bowiem wszystkie germańsko-skandynawskie narody w ogolności, tak też i Niemcy odznaczają się w praktyce wielkim konserwatyzmem, pomimo, że teorja u nich nieraz stara się wyzwolić z więzów świata rzeczywistego (die Welt der Relativität).

Wiadomo, że wszystkie uniwersytety się na wzor już to paryskiego, już to bolońskiego, obu w XII. wieku powstałych, ukształtowały [2]). Pierwszy z nich był wzorem dla wszystkich środkowo-europejskich od XIV. w. zakładanych, dla angielskich i dwu francuskich, jakoteż i dla krakowskiego przez Jagiełłę r. 1400 zreformowanego; z czasem dla wszystkich gdziebądź fakultetow teologicznych, nawet dla bolońskiego w r. 1362 erygowanego, przez co nareszcie jego urządzenia ogolnie się rozpowszechniły; gdy drugi był prototypem dla uniwersytetów włoskich, hiszpańskich, jedynastu francuskich i dla krakowskiego Kazimirowskiego z roku 1364.

Różnice między tymi dwoma wzorami zachodzące były zasadnicze i wielkie. W Paryżu istniała szkoła teologiczno-filozoficzna. Rządzili nią profesorowie i oni ze swego grona rektora i konsyljarzy (senat) wybierali, była to universitas magistrorum, mająca pod sobą i w miejscu i po całym kraju różne szkoły podrzędne, jako swe kolonie. Uczniowie uniwersyteccy, a zwłaszcza biedni mieszkali po konwiktach i kolegiach, tak zwanych bursach, z których najdawniejszą jest owa w r. 1250 przez Roberta z Sorbonne dla księży w Paryżu fundowana. Dlatego też do najnowszych czasów Université paryzka miała nadzór nad szkołami, Pragska i krakowska akademja miały swe kolonie, a po angielskich i szkockich istniały jednocześnie i niższe zakłady naukowe. Z naśladownictwa Paryża powstawały bursy np. w Pradze, w Krakowie, a z nich utworzono w Tybindze jadalnie (koeniglicher Freitisch). Do dziś dnia też gimnazja francuskie (Colege) połączone są z konwiktami dla uczniów.

[1]) Za panowania cesarza Mikołaja, wielu Polaków otrzymawszy paszport do Niemiec dla poratowania zdrowia korzystało z tego urządzenia by się do Paryża udawać, a gdy w Edimburgu jest 6 miesięcy wakacyj, jeden z tamtejszych akademików, za takim paszportem był przez całe półrocze studentem w Frajburgu, bez wiedzy władz warszawskich.

[2]) Porównać w tej mierze gruntowne dzieło Alfreda Brandowskiego i założenie uniwersytetu krakowskiego w r. 1364. — Kraków 1873.

Odwrotnie znów akademja bolońska była szkołą prawa, szkołą specjalną bez innych zakładów sobie podporządkowanych, była to Universitas Scholarium, w której uczniowie dowolnie w mieście mieszkający, rządzili i ze swego grona niegraduowanych kolegów na rektorów i konsyljarzy obierali, a także co roku professorów mianowali. (Takim to rektorem był Jan Zamojski w Padwie).

Jedynie pragski uniwersytet łączył w sobie oba te różne systemy, ale już od r. 1391 poddał się wyłącznie paryzkiemu kierunkowi.

Z wyż powiedzianego wynika, że gdy pierwiastkowo na każdym uniwersytecie jednę tylko, pewną umiejętność uprawiano, więc oczywiście podział na różne fakultety naówczas był nieznanym, a jedynie istniał ów na nationes. Była to jednak organizacya administracyjna, bynajmniej ściśle na narodowości uczniów nie opierająca się, wtedy bowiem pod wyłącznem panowaniem łaciny poczucie onej wcale silnem jeszcze nie było.

W Bolonii istniały: Natio Cisalpina, obejmująca 18 różnych tribus, i natio transalpina czyli transmontana o 17-tu tribus, między którymi mieściła się i Polonia. I Paryż miał z początku 2, ale od: r. 1206 już 4 nationes, tj. francuski, pikardzki, normandzki i angielski, do ostatniego należeli także Niemcy i Polacy. Nie śmiem stanowczo utrzymywać, iż na wszystkich według paryzkiego wzoru urządzonych uniwersytetach także zawsze cztery liczono narody, chociaż bardzo bym się do tego zdania przychylał. Wszakże i w Pradze i w Lipsku egzystowały nacye: czeska, bawarska, saska i polska, ostatnia nietylko Polaków ale i różnych Niemców w sobie łącząca. W Frankfurcie, w Wiedniu były 4 narody, a tu węgierski znów Polaków także obejmował. Gdy zaś w Krakowie bursy: niemiecka, węgierska, czeska, istniały, kto wie czy i tu wraz z Polakami cztery nacye nie kwitnęły.

W drugiej połowie jednak XIII. wieku przez zaprowadzenie różnych przedmiotów naukowych powstały w Paryżu fakultety: teologiczny, prawny, lekarski i filozoficzny (ordines) i według nich nadal dzielił się uniwersytet; każdy wydział wybierał swego dziekana, radę zaś akademicką i rektora dawał fakultet filozoficzny. Ta nowa forma prędko wszędzie się rozszerzyła i wpływ swój wywarła. Wyjątki były tu rzadkie. Bolonia tylko tem się różniła, że tam lekarze, filozofowie i teologowie razem jeden wydział tworzyli, który jako Universitas literarum osobnego miał rektora, podobnie jak i każdy ze wspomnianych już dwóch narodów tj. Cis i transalpinów. Z czasem zaś uniwersytet ów liczył pięć fakultetów, albowiem dwa prawne, jeden prawa rzymskiego (jus caesareum), drugi kanonicznego (jus pontificium). Pragski zas dzielił się w XIV. wieku na dwa odrębne, osobnych rektorów posiadające, z których jeden, universitas juristarum, wyłącznie prawników obejmował.

Na tych wszystkich uniwersytetach i wydziałach wykładali za opłatą czesnego profesorowie, używający tytułu Doctores, jeżeli byli prawnikami, lub gdy do innego fakultetu należeli: magistri. Prócz nich udzielali nauk tak zwani licencyaci, którzy licentiam legendi przez złożenie egzaminów osiągnęli, a nawet uczniowie przez pewnych profesorów do ich zastępowania powołani, a tylko mniejsze egzamina mający, bakalarze. Oprócz wykładów w szkole samej, bywały prywatne po bursach i kolegiach. W tych stosunkach więc i w tem, że uczniami bywali ludzie bardzo różnego wieku, wykształcenia i stanowiska społecznego, a zatem rozmaitej nauki potrzebujący (wysocy duchowni, zakonnicy, księża, szlachta i rozmaita młodzież) znajdujemy ugruntowanie i początek do dziś istniejącej *wolności uczenia i nauczania*. Licencyaci to dzisiejsi prywatdocenci, bakalarze to adjunkci a obiór prelekcyj i nauczycieli, a przedewszystkiem tego lub owego uniwersytetu, również wtedy tak był dowolnym jak dzisiaj.

Średnie wieki nieznały niejako pojęcia państwa (Etat, Staat). Albowiem respublica christiana oznaczała wszystkie chrześcjańskie, czyli cywilizowane narody, w wzajemnych ze sobą stosunkach będące. Imperium (deutsches Reich), dobrze po polsku rzeszą niemiecką zwane [1]), to ogół owych wszystkich książąt, biskupów, opatów, hrabiów, baronów, miast i wolnych gmin wiejskich (niderlandzkich i szwajcarskich), panujących, a jedynie zwierzchność cesarza nad sobą uznających, ale nie państwo w dzisiejszem pojęciu. Takiż stan był i w innych krajach do imperium nienależących, z tą różnicą, iż w nich miejsce cesarza zajmował król i on to był zwierzchnim panem prowincji, arystokracji, miast i instytucji, słowem wszystkich prawno politycznych szczegółów lub indywidualności. Jeżeliby wolno było użyć przestarzałego wyrazu *Stan* na oznaczenie państwa (mówiło się bowiem Generalne Stany Holenderskie, Zjednoczone Stany Ameryki Północnej, Radca Stanu itd.), wtedy można by powiedzieć, iż średnie wieki nie znały *Stanu*, tylko różne *stany*, tak jak w nich nieistniały *wolność* i *prawo*, ale różne specjalne wolności, prawa, przywileje, jura, libertates, immunitates, privilegia) przysługujące pojedyńczym szczegółom.

Każdy z nich sam sobie dawał prawo lub statuty, a jak miasta, gminy, a nawet cechy, tak podobnież i uniwesytety stanowiły niejako osobne republiki i same się rządziły i sądziły. Władzami ich były senaty, dziekani i rektor, Obywatelami docenci, dalej wszyscy stopnie akademickie posiadający, a wreszcie studenci, — poddanymi zaś nietylko sama służba tj. pedele i famulusy ale i wszyscy przemysłowcy z uniwersytetów żyjący, np. księgarze, wypożyczacze książek, przepisywacze, malarze miniatur, wyrabiający pergamin, introligatorowie itp.

Akademicka władza była zaś rzeczywistą, a nie jakąś liteoretyczną, miała ona łańcuchy i więzienia i skazywała na nie nawet osoby żadnych styczności z nauką niemające. Ciekawym w tej mierze dowodem były w roku czterdziestym którymś drukowane zapiski wyroków sądu uniwersyteckiego z XV-go wieku, nie pamiętam już z Tubingi (założonej 1477) czy też a Wircburga (fundowanego 1403 r.).

Tych więc stosunków pozostałością i zabytkami są dotychczas niemieckim uniwersytetom, jednak w różnych krajach, w różnej mierze przysługujące *przywileje*, o których powyżej wspomniałem.

Tu należą również przez nie nadawane tytuły akademickich drukarń, księgarń, fabrykantów narzędzi chirurgicznych, optyków i introligatorów.

Przecież za moich jeszcze czasów, Tubinga urzędową nazwę «koenigliche Universitaetsstadt» nosząca, ze swą około 8000 na ludnością, w której każdy ósmy mieszkaniec był akademikiem, podlegająca zarządowi uniwersyteckiego senatu, była prawdziwym anachronizmem, przechowanym i zasuszonym okazem średnich wieków, nie tak jak piękna i szlachetna Norymberga co do swych budowli i domów, a więc pod względem architektonicznym, lecz pod względem społecznym. Na całem terytorjum miejskiem zakazał senat wszelkich teatrów, przedstawień, koncertów,—gdy raz w karnawał zamierzano dać bal studencki, zaniechano tej niewykonalnej myśli, bo prócz kilku córek profesorskich nie było w mieście panien. Senat zakazał, by przed obiadem, a także po dziesiątej godzinie wieczór żadne gospody, restauracye, kawiarnie, piwiarnie nie były otwarte. Krótkie i krzywe uliczki i zaułki nie miały nazwisk, a domy nie były liczbowane [1]). Obiad studencki à la table d'hote kosztował dzisiejszych 21 kr. ale za to, zdziczenie młodzieży było ogromne. Każdy w swem mieszkaniu miał zapas piwa i wina i nigdzie w Niemczech tyle co tam nie pito. Wytwarzały się oryginały. Znałem akademika, zwano go der Eichelfresser, bo w swych toastach zawsze o niemieckich mówił dębach, był jubilatem, 50 semestrów był w Tubindze na uniwersytecie a miał zamiar i nadal tam pozostawać. I we Frajburgu mieliśmy studenta, który 28 liczył półroczy. Cóż tych ludzi mogło skłonić do zapomnienia o świecie i do tak nienaturalnego przedłużenia pozycyi i zajęcia, które z założenia swego mają być przygotowawczymi do innych, a zatem przechodnimi? Wesołe życie w studenckich stowarzyszeniach. Przypatrzmy się więc takowym.

Nie myślę zaprzeczać, iż pierwiastkowo nietylko uniwersytety miały duchowny charakter, że profesorami byli księża, nieraz wspólnie po kolegiach mieszkający, ale że nawet uczniowie, mianowicie słuchacze teologii i bursarze nosili duchowne suknie, bo przecież zwyczaj ten trwa w Anglji i Szkocji do dziś dnia, a w Paryżu dopiero od r. 1600 profesorowie prawa od celibatu uwolnieni zostali, atoli twierdzę, iż ów uczniów strój duchowny nie był ogólnym, zaś od XV. wieku nawet nie był zwyczajnym

[1]) Wolter powiedział, że święte imperium rzymskie nie było ani świętem, ani imperium, ani rzymskiem, lecz tylko najczcigodniejszą w świecie anarchią.

[1]) Chcąc odwiedzić przyjaciela w urzędzie uniwersyteckim dostałem jego adres „bei der Wittwe Fischerin,“ pokazało się, że w mieście były trzy wdowy Fiszer, daleko od siebie mieszkające, a los chciał, że mój kolega istotnie u tej mieszkał, do której ostatniej poszedłem.

Prócz wielu innych okoliczności dowodzą tego również powyżej wspomniane zapiski wyroków sądu uniwersyteckiego. Podają one bowiem zakaz by szlacheccy panicze nie nosili mieczów horyzontalnie z tyłu przypiętych, na wzór katowskiej czeladzi (nach Art der Henkersknechte). Gdy więc tu tak licznie na akademiach przebywająca młodzież po świecku się nosiła, a nawet nadzwyczaj światowe prowadziła życie (i tego wiele dowodów daje przytoczona publikacja) zapytać się godzi, jakiem więc było ono życie?

Nietrudna tu odpowiedź. Żyła ona w owych nacyach i w owych tribus, na które się one dzieliły, a które pomimo że od ustalenia się fakultetów na urzędowem znaczeniu straciły, jednak ani istnieć, ani kwitnąć dlatego nie przestały. A więc np. Transalpini w Bolonji lub Anglicy w Paryżu stanowili ogólniejsze związki studentów, te zas znów się na podrzędniejsze dzieliły, i tak na Polaków, Niemców itd. Że każda taka Alemania, Polonia, Hungaria miały swe właściwe *gospody* (taverna, kneipe), a urządzone były na wzór rzemieślniczych cechów, że celem ich była towarzyska zabawa, na to się zgodzi każdy choć trochę ze średniemi wiekami obeznany. W owych zaś czasach nieznających miru ni zgody tembardziej potrzebną była organizacja, gdy każdy praw swych przeciw wszystkim nieledwie mieczem bronić musiał. To powodem owych licznych związków odpornych, jakie zawierało rycerstwo pewnej okolicy, lub jakie miasta bliżej siebie położone łączyły (np. der Schwaebische Staedte a także der Schwaebische Ritter-Bund). W pojedyńczem znowu mieście, każdy cech, każda korporacja były wojskowemi, wciąż do walki gotowemi drużynami. Takimi były też i uniwersytety, a przynajmniej jego nacye. Wśród krwawych bowiem a wcale nie rzadkich zatargów czy to z miastem czy z pojedyńczym cechem, musiały skutecznie bronić swych przynależnych, od których wzajem najdzielniejszego i najgorliwszego udziału w służeniu wspólnej sprawie wymagały. Niedostateczne lub nierychłe załagodzenie i wynagrodzenie krzywdy uczniom wyrządzonej stawało się nieraz powodem, że znaczna część mistrzów i słuchaczy w inne strony się udawała. Tacy wychodźcy bolońscy założyli w XIII. wieku uniwersytet padewski, a w tymże czasie podniosły się Oxfort i Kembrycz przez przebyłych tamże emigrantów paryzkich. Wiadomo, że za panowania Zygmunta Augusta w r. 1549 prawie wszyscy krakowscy akademicy, z powodu zabicia kilku studentów przez sługi ks. Andrzeja Czarnkowskiego, proboszcza krakowskiego, wywędrowali do Czech i Niemiec, zkąd potem jako stronnicy reformacji wrócili. W często wspomnianej publikacyi zapisków sądowych czytałem, że «Polacy otrzymawszy zaspokojenie im należne z powodu zabicia jednego z nich, przysięgę złożyli, że się na mieście mścić nie będą (Die Urfehde geschworen). Otóż te Tribus, na które się nacye dzieliły, jak Alemania, Suaevia, Rhenania, Franconia itp. do dziś dnia istnieją, stanowią osobliwość niemieckich uniwersytetów, a wraz z wolnością uczenia się i nauczania i wraz z pewnymi prawnemi urządzeniami są spuścizną odległej przeszłości i one to taką atrakcyą na młodzież wywierają.

Jak akademia paryzka pod każdym względem była dla wszystkich środkowo-europejskich wzorem, tak była nim niemniej co do życia i co do urządzenia studenckich stowarzyszeń. Za tem zdaniem przemawia nietylko uwaga, że rzecz inaczej mieć się nie mogła, bo naówczas wzory wiernie bardzo i we wszystkiem naśladowano; nietylko ogólna w całych Niemczech, nigdzie niezaprzeczona tradycja, ale nawet francuzkie pochodzenie wielu wyrażeń studenckiego języka. Ograniczę się tu oczywiście tylko na kilku przykładach. I tak owe niezawodnie powszechnie za niemieckie poczytywane nazwisko akademika «Bursch», pochodzi od Bursa, o których wyżej mówiłem, a właściwie od bursarius, bursaka, jej mieszkańca. Ustawy studenckie, np. co do pojedynków, to co się teraz we Francyi nazywa le code du duel, nosi nazwę der Comment, der Pankcomment, wypadki w których ustawa nieobowiązuje oznacza wyraz Comment Suspendu, stowarzyszenie ein Corps takie, które według zasad urządzone: eine Couleur, student, nieczynny członek stowarzyszenia: ein Renonce obraza eine touche, sprzeczka ein rencontre, oficyalne zebraule studentów ein Commerce, funkcyonarjusz przy pogrzebie ein chapeau d'honneur, fanfaronować, ńdawać renomiren, ein Renomist i wiele innych.

Dzisiejsze stowarzyszenia także noszą nazwy od prawdziwych szczepów niemieckich, lub przynajmniej podobne. Do pierwszych należą np. szwaby, franki, saxy itp., do drugich Renany, palatyńcy (Pfaelzer) Hanzeaci i inni. Używają na jeden sposób układanych herbów i trzech kolorów na czapkach, wstęgach itd.

Celem ich wyłącznie wspólna zabawa i pielęgnowanie uczucia honoru.

W zabawie główną rolę grają zebrania wieczorne we właściwym lokalu, z toastami na cześć gosci obecnych, śpiewami i piciem piwa, przy którem obserwują się różne stare zwyczaie przez das Trinkcomment ustalone. Trudno zaprzeczyć, że cześć Gambrinusa u nich bardzo jest żywą.

Co do drugiego celu środkami są: nienatychmiastowe przyjmowanie członków, lecz rodzaj nowicyatu dla nich, i robienie bronią a raczej pojedynki. I tutaj dużo jeszcze ze średnich wieków pozostało. Gdy wówczas różnego wieku bywali studenci, a długo na uniwersytecie przebywali, trzeba więc było młodych przybyszów stosownie do potrzeby stowarzyszenia wykształcać. Ztąd das Fuchswesen, die Fuchsdressur i zwyczaj, że starsi obierali sobie za rodzaj adjutanta każdy po jednym z młodych nowo przybyłych, zwano ich wtedy Leibfuchs [1]) i szczegółowo się ich wykształceniem zatrudniali. Cała ta dresura, bardzo terminatorów u rzemieślników przypominająca i owi przyboczni fuchse byli potem do wielu i znacznych zdrożności. Dziś to już złagodniało, ale nowo przybyłych chrzczą piwem (Fuchstaufe) na początku II. półrocza fidibusami włosy im zapalić usiłują (Fuchsbrennen), oczywiście bez skutku, bo one ad hoc dostatecznie już są zmoczone.

[1]) Dziwny a w parabolach swych nie zawsze łatwy do odgadnięcia jest język studencki. Gimnazyasta to żaba Frosch, a gimnazyum staw Teich. Maturzysta czyli abiturient to muł, Maulesel, bo już nie gimnazyasta, a jeszcze nie akademikiem. Student na I-em półroczu: lis, Fuchs, na drugiem Brandfuchs, na III. Jungbursch, na IV. Bursch, na V. Altes Haus, a na VI. i następnych bemostes Haupt, głowa mchem porosła, także od VII-go semestru powtarzają się poprzednie nazwy z dodaniem Gold. Dawni członkowie stowarzyszenia nazywają się Alter Herr. Student do żadnego związku nienależący to Zięba: Fink. Pilny Ochs albo Bueffel, bo głową pracuje, niedołęga wielbłądem zwany Kameel. Po za uniwersytetem stojący: Philister, Chłop: Kaffer, czeladnik rzemieślniczy: Knote. Panienka ze szkoły: Backfisch czyli płotka, do smażenia, dorosła panna: Pstrąg forelle, panna na balu, zamiatająca suknią: Besen, miotła —pożyczać: pumpen, egzamin zdawać to pocić się, schwitzen, od egzaminu uciec durchbrennen i tak dalej bez końca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

OJ! MNIEJ.

Oj! mniej kamieni na dnie szerokiem
W rzece płynącej,
Niżeli uczuć, pragnień i chęci
W duszy gorącej.
Mniej kropel rosy błyszczy porankiem
W wierzby warkoczach,
Niż łez serdecznych po matki stracie
W sieroty oczach.
Oj! mniejszym blaskiem świeci słoneczko
W niebios błękicie,
Niż mąż promienny duszą wspaniałą
Na sławy szczycie.

Karol z Myślenic.

KRONIKA.

Nasycony wonią tatrzańskiego kwiecia, napojony widokiem błękitnych fal śródziemnego morza, nasiąknięty pirenejskim kwasem karbolowym, olśniony panoramą Złotego Rogu, omywanego srebrnemi falami Bosforu, okradziony sromotnie w starożytnych Atenach, oclony podwójnie a należycie na granicach obu połów monarchji austrjacko-węgierskiej, rozczardaszowany w Peszcie i rozwalcowany, «nad modrym Dunajem» — powróciłem nareszcie do was zacni czytelnicy, aby podzielać wasze trudy i kłopoty, kłócić się z wami o prezydenta, wąchać wasze smrody uliczne, irytować się Czasem, teatrem i oświetleniem gazowem, robić politykę u Hawełki, zachwycać się rozumem demokracji krakowskiej i wściekać się na jezuityzm i arystokracją [1]).

[1]) Przysłowie: kłamie jak myśliwy, mogłoby być zamienione na: kłamie jak kronikarz, zaręczam bowiem, że p. K. B. nigdzie przez całe lato nie jeździł, a jeżeli kronik nie pisał, to jedynie dlatego, że mu się nie chciało.
Przypisek zecera.

Pomimo oddalenia zawsze byłem z wami. W Atenach marzyłem o Akademji Umiejętności, Termopile przypomniały mi radcę Bochenka walczącego w obronie prawowitych afiszy, na Kapitolu w wyobraźni mojej przesuwały się cienie Jordanów, Jakubowskich, Armółowiczów, paryzka opera żywo mi uprzytomniała wspaniałe mury nowej świątyni na placu Szczepańskim, po lagunach weneckich płynąłem z obrazem w sercu właściciela Wenecji hr. Dębickiego. Kanał La Manche — i radca Rzewuski, Strasburg — Tallard i radca Domański, rozbójnicy włoscy — i dodatki do podatków, drzewa figowe — i nasi ministrowie rodacy, muły hiszpańskie — i nasze liberały — wszystko to najwygodniej układało sie w myśli mojej, tworząc wesołe pot-pourri z opery «Wlazł na gruszkę.»

Wiadomość o uroczystościach czeskich doszła mnie w Madrycie? W dzienniku «Trabucos Regalitas», organie rojalistów hiszpańskich, taką znalazłem o nich wzmiankę:

«Z Galicji austrjackiej, kraju zostającego pod protektoratem żydowskim, donoszą nam o wesołych kilkudniowych uroczystościach z powodu przybycia do polsko-żydowskiego miasta Krakowa licznych deputacyj czeskich z miast: Tumlirza, Tonnera, Pragi i Harambaszica. Na czele tych deputacyj stał potomek staroczeskich grandow hrabia Kolin. Młynarz z Nagłowic Rej (w oryginale Rey de Besgloviss) ze starym jenerałem Adamo de las Miłasevios (służył jeszcze za pierwszego cesarstwa i był z Napoleonem w Hiszpanji), oraz z człowiekiem ognia Vincentio de Eminovio (dosłownie: uomo del ignito, po czesku «pożarnyj wodochlap), przyjmowali deputacje na przedmieściu Weigel. Wspaniały bankiet w ogrodzie pana Schütza był koroną uroczystości. Również podejmowało deputacje wyborną kolacją Circolo letterario e aristocratico (?) — obfitość potraw była tak wielka, że przez trzy dni zaledwie biednym pozostałości rozdano. Z pomiędzy mówców czeskich najwięcej sympatji uzyskał młody i piękny akademik Josephino Halek, między damami jaśniała urodą urocza Tatinka. Cała arystokracja rodu i inteligencji wzięła udział w dwoch balach w sali Schütza. Wspaniałe apartamenta hrabiów Havelqui i Miqui stały wciąż otworem dla przybyłych gości. Kopalnie salcessonu w Velichqua (? w oryginale: sal cessa in Velichqua) niezmiernie się im podobały. Zgoda i łączność wzrosły do tego stopnia, iż Polacy wybrali cztery najpiękniejsze donny, przeznaczając je dla dorodnych synów Czechji. Za dziewięć lub dziesięć miesięcy spodziewać się można żywych rezultatów tego porozumienia się dwóch narodów.»

Chaotyczne to doniesienie, z przekręconemi najwidoczniej faktami, a zwłaszcza nazwiskami, nie mogło mi dać dokładnego obrazu świątecznych dni Krakowa. Dopiero od p. Marjana Sokołowskiego, z którym się spotkałem w Konstantynopolu, dowiedziałem się bliższych szczegołów krakowskich uroczystości. Pan Marjan jechał na wschód dla poszukiwań archeologicznych, gdyż w kraju naszym nie znalazł już pola dla swych naukowych badań. Właśnie pan hrabia Lanckoroński nadesłał mu do rozeznania napis znaleziony na jakimś pomniku rzymskim, a dotąd nieodcyfrowany. Pomagałem panu Marjanowi w tej żmudnej pracy, ale nie doszliśmy do żadnego pozytywnego rezultatu. W nadziei, że który z uczonych krakowskich będzie od nas szczęśliwszym, podaję im ten napis do wiadomości. Początek jego i koniec biegiem wieków zniszczony, środek zaś opiewa:

.... NA. PISCIS. ENS. DATA Q. I.
NI.... ED. OBRAI. EST. CURA. STA.
RAI. STA. RE. FLACC. I.............

Wracając przez Wiedeń dowiedziałem się od bawiącego tamże dra Jordana, że «Przegląd liter. i art.» opóźnia się niesłychanie. Coś w tem być musi, pomyślałem sobie, kiedy tak znane z regularności pismo naraża swoich prenumeratorów na czytanie dopiero w dniu 20 Września tego, do czytania czego mieli prawo 20 Sierpnia. Badając ostrożnie dra Jordana wyciągnąłem od niego kilka urwanych słów: Hausner.... kolej.... pan Alfred.... Romanowicz.... anarchja.... Sokół.... Weigel.... Szlachtowski.... czytelnia akademicka.... dynamit.... Czułem, że się coś złego święci, kiedy tak odważny rycerz jak dr. Jordan drży i bąka pojedyncze wyrazy, bojąc się dopowiedzieć reszty. Postanowiłem ratować gród mój ukochany i oto jestem.

Przyjechałem wczoraj o godz. 10tej wieczorem. Zaraz przy wjeździe w miasto zobaczyłem rząd nieociosanych palów smołą u dołu powalanych. Struchlałem. Więc aż do tego doszło, iż całe rzędy szubienic wystawiono! Kto jednak zwyciężył, nad czyjemi głowami zawisł doraźny wymiar sprawiedliwości?! Kto zasiada na ratuszu i podpisuje wyroki: przedstawiciele reakcji czy komuny? W drodze ku ulicy Florjańskiej spotkałem jakieś dwa czarne, szerokie i opatrzone napisami wozy, jakich przedtem nie widywałem. Z wnętrza ich zaleciał mnie zapach trupi, krew się ścięła w żyłach moich, nie mogłem złapać oddechu. Czułem, że ostatnia godzina życia mego wybiła, obie bowiem skrajne partje nie czują ku mnie zbytecznej sympatji. Podsłuchując przechodniów dowiedziałem się o sprowadzeniu wielkiej ilości nafty i o tem, że Zoll, Tarnowski i Artur Potocki są we Lwowie. A więc uszli szczęśliwie, a więc komuna zwyciężyła. Zawlokłem się do domu, położyłem się w ubraniu na łożu, czekając z trwogą poranku. Koło godz. 3-ciej w nocy przebudziły mnie głośne rozmowy. Wyjrzałem oknem i zobaczyłem całą bandę złożoną z kilkudziesięciu ludzi, zmierzającą ku bramie florjańskiej. Ciekawość przemogła, zeszedłem na dół. Południowa strona rynku silnie była oświetloną. Skradałem się po cichu ku kościółkowi św. Wojciecha. Co krok napotykałem szubienicę. «Koło literackie, to zbiegowisko najskrajniejszych żywiołów, ujrzałem gorejące od światła. Muzyka grała, słyszałem zdala śpiewy, gromkie przemowy. Miałem przed sobą Paryż roku 1871-go. Hyeny, a nie ludzie na potokach krwi przelanej, na zgliszczach pałaców i domów, wyprawiają nocne orgje. Co za szczęście, że pomnika Mickiewiczowi jeszcze nie postawiono, byłby pewnie padł ofiarą zwierzęcych popędów motłochu.....

Uciekłem, ale już do rana oka zmrużyć nie mogłem. Wchodzącą do mego gabinetu pokojówkę spytałem: co znaczą te szubienice. «To żadne szubienice — odpowiedziała — to są latarnie.» Drwi sobie ze mnie hultajka, pomyślałem, wiem ja o tem, że te wyrzutki wielkiej subjekcji sobie nie robią, każda latarnia starczy im za szubienicę. Ubrałem się prędko i wyszedłem na ulicę: wszędzie cicho, spokojnie jak zawsze. Z tej strony idzie hr. L. Dębicki i nikt go nie zaczepia, tam znowu sunie biały zewnątrz, ale czerwony wewnątrz Boroński. Fiakry śpią na kozłach, jak zawsze, po sklepach niema nikogo, jak zawsze, przyjemny smrodzik krakowski dolatuje cię ze wszystkich stron, jak zawsze, nareszcie jeden z przyjaciół spotyka mnie i prosi o pożyczkę guldena, jak zawsze.

Wchodzę do mieszkania wydawcy «Przeglądu». Każe mi ze źle utajoną złością siadać i pisać kronikę. Siadam więc i piszę, a pisząc zapytuję się ostrożnie co się działo wczoraj w «Kole art. liter.» Dowiaduję się, że obywatele i koledzy pióra obchodzili jubileusz Michała Bałuckiego. Piszę dalej i znów się pytam: a co znaczą te szubienice? Wydawca objaśnić mnie nie umie, domyśla się tylko, że na słupach tych będą umieszczone tablice z napisem: «Zanieczyszczanie tego miejsca» itd.

Kończę kronikę i wychodzę dowiedzieć się bliższych szczegółów o tych palach, ktore mnie tak przeraziły w dniu wczorajszym. Jeżeli się czego pozytywnego dowiem, to w przyszłej kronice nie omieszkam tem się z czytelnikami podzielić.

23 Października.

K. B.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— *Michał Bałucki* napisał jednoaktówkę: „Bilecik miłosny“ — drukować ją będzie kalendarz humorystyczny krakowski.

— „Górą nasi“ znakomita komedja *K. Zalewskiego* wyjdzie nakładem K. Bartoszewicza.

— We Lwowie ma wychodzić nowy dziennik pod redakcją p. *Ludwika Masłowskiego*, przed rokiem skrajnego liberała, a od dziewięciu miesięcy skrajnego konserwatysty.

— Cztery tomy nowell *Michała Bałuckiego*, wyszły nakładem Paprockiego w Warszawie.

— „Dwie miłości“, dramat *Józefa Kościelskiego*, przełożył na język czeski znany literat, tłumacz utworów polskich na czeskie, Schwab Polabsky, p. t. „Dwe lasky.“

— Jak się dowiadujemy z Tygodnika powsz. *Kościelski* pracuje obecnie nad nowym dramatem historycznym, do którego tematu dostarczyły mu nasze stosunki z Krzyżakami, i zarazem wykończa dramat społeczny, w którym porusza kwestją semicką.

— *Tadeusz Korzon* wydał III tom swego znakomitego dzieła: „Polska za Stanisława Augusta.“

— Tegoż autora wyszła z druku nakładem Gebethnera i Wolfa „Historja wieków średnich“, wyłożona sposobem elementarnym, z dołączeniem 4 map kolorowanych, 46 rysunków i tablic genealogicznych. Cena 3 złr. 30 c.

— W Toruniu w drukarni p. J. Buszczyńskiego a nakładem Tow. nauk Toruńskiego, ukazał się opis tego miasta p. t. „Toruń“, praca uwieńczona na konkursie rozpisanym przez Tow. nauk toruńskie. Toruń, 1884, str. 113.

— Pomników dziejowych polskich, wydawnictwa rozpoczętego przez *Aug. Bielowskiego*, wyszedł obecnie tom IV. i zawiera między innymi: Wypiski J. Długosza z źródeł niepewnych, traktat Henryka, syna Zbigniewa, z Góry, przeciw Krzyżakom, najezdnikom Król. Polskiego W końcu dodany indeks nazwisk, ułatwiający niezmiernie korzystanie z dzieła.

— W „Bibliotece pisarzów polskich“, wydawanej od lat blisko 40 nakładem firmy F. A. Brockhausa w Lipsku, ukażą się niebawem utwory poetyczne *Aurelego Urbańskiego*, oraz 3 wysokiej wartości poematy dramatyczne: „Na poddaszu“, „Pod kolumną Zygmunta“ i „Dramat jednej nocy.“

— Zbiorowe wydawnictwo literatów kijowskich na rzecz powodzian w Królestwie i Galicyi p. t. „Pomoszcz bratniaja“, ukazało się już w handlu księgarskim.

— Nakładem krak. Akademji Umiej. wyszła część I. dzieła dra *K. Morawskiego*, p. t. „Andrzej Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła, obejmująca czas od r. 1522—1572.

— „Aktów grodzkich ziemskich“, wydawanych staraniem galic. Wydziału kraj., wyszedł tom X., zawierający streszczenia dokumentów bogatego zbioru t. zw. „Archiwum bernardyńskiego.“ Redakcyą zajmuje się prof. *Ksawery Liske*.

— Pieśni Litewskie. Profesor uniwersytetu w Kazaniu, p. *Jan Juszkiewicz* wydał w Petersburgu IV. tom pieśni litewskich ze zbiorów swego brata, ś. p. ks. *Antoniego Juszkiewicza*. Tom ten o 900 stronicach nosi tytuł: „Letuwiszkos svotbinos dajnos“ (Litewskie pieśni weselne) i zawiera tysiąc sto pieśni z okolic Wielony naddniemeńskiej, pamiętnej śmiercią Gedymina. Wydrukowano je poprawnie głoskami łacińskiemi i załączono przedmowę w języku litewskim i rosyjskim, podającą rozmaite szczegóły, objaśniające ten bogaty zbiór utworów fantazyi ludu litewskiego.

— Nakładem księgarni *T. Paprockiego* wyszła z druku komedja w 1 akcie p. t. „Uwięziona“ przez p. *Zofią Mellerową*.

— *Henryk hr. Łączyński* napisał nową komedyą 3 aktową p. t. „Szukam spokoju,“ którą przedstawi teatr lwowski.

— *Bliziński Józef* nadesłał dyrekcyi teatru lwowskiego nową swoją komedyą, p. t. „Szach i mat.“

— *Józef Beyer* napisał operetkę p. t. „Holandczycy“ do tekstu Zella.

— Pierwsza część dzieła *Marc Monnier'a* p. t. „Histoire générale de la Litterature moderne“, opuściła prassę w Paryżu i obejmuje czas od Dantego aż do Lutra.

— Revue de l'art chretien, z lipca b. r. zawiera odezwę biskupa dublińskiego, w której zwraca uwagę na odkryte w Krakowie skarby nut kościelnych, dowodzące wysokiego rozwoju muzyki kościelnej w Polsce od w. XIII. począwszy.

— Revue universelle Internationale zamieszcza obszerny artykuł *Wład. Mickiewicza* o pismach *H. Sienkiewicza*.

— P. *Leopold Meyet*, znany adwokat warszawski podejmuje wydawnictwo „Słownika prawników polskich“.

— *Zola* napisał nową powieść p. t. „Germinal“ (kiełkowanie), opartą na tle życia górników, uwzględniającą spółczesne socyalne prądy.

— Nowy dramat słynnego francuskiego pisarza *Sardou*, ma tytuł „Teodora“ i odnosi się do VI-go stulecia. Teodora jest ową sławną cesarzową wschodu, żoną Justyniana I., której imię w VI. stuleciu tyle przestrachu wzniecało! Sara Bernhardt usiłuje już naprzód odtworzyć ową znaczną postać, niewiadomo jednak na której scenie sztuka Sardou po raz pierwszy się ukaże.

— *Liebsch Georg*, Syntax der wendischen Sprache in der Oberlausitz. Bautzen 1884

— *Niedźwiedzki J.*, Üb. die Salzformation v. Wieliczka und Bochnia, sowie die an diese angrenz. Gebirgslieder. Lemberg (Milikowski).

— *Klaic*: Geschichte Bosniens von den ältesten Zeiten bis zum verfalle d. Königreiches. Nach dem Kroat. von J. v. Bojnicić. Wien.

— *Edward Jelinek* wydał w X. tomie rozpraw wydz. filolog. Akademii Umiej. w Krakowie „Bibliografią przekładów z piśmiennictwa polskiego na język czeski“ (do końca 1882 r.). Obejmuje ona 1000 tytułów dzieł i niemal 160 imion tłumaczów. W tym samym tomie „Rozpraw“ znajduje się także Edw. Jelinka „Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich dotyczących rzeczy polskich.“ Część II. (1878—1882). Podobnež prace, jak czytamy w Bibl. warsz. (zeszyt X. T. IV.), tyczące się literatury chorwackiej i serbskiej, Jelinek wygotował był dla Akademii południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu.

— Dzieło tegoż autora p. t. „Polskie panie i dziewice“ przełożył na język chorwacki *A. Tkalczewicz Weber* i pomieszcza w „Viencu“ zagrzebskim; A. Teodorow zaś przeniósł je do literatury bulgarskiej.

— *Jelinek* wydał także niedawno „Historyczne humoreski“, a obecnie pracuje nad zbiorkiem obrazków z życia małoruskiego p. t. „Mogiły ukraińskie.“

— Wyszły w Warszawie z druku: „Wspomnienia z przeszłości, opowiadane Deotymie przez *Ant. Edw. Odyńca*“ (Warszawa, 1884).

— „Kuryer mód“, dwutygodnik dla kobiet, zaczął wychodzić w naszem mieście z początkiem października.

— *Hr. Wojciech Dzieduszycki* wygłosił w sali ratuszowej we Lwowie dwa odczyty o powieści H. Sienkiewicza: „Ogniem i mieczem“. Drugi odczyt na dochód lwow. Tow. oświaty ludowej.

— Zwracamy uwagę na pracę *Józefa Tretiaka* w Przewodniku naukowym i lit. zesz. 10 p. t. „Zygmunt Krasiński w I. dobie młodości“.

— *T. Ziemby*: „Mickiewicz w podróży po Niemczech i Szwajcaryi w r. 1829“ w Bibliotece warsz. (zesz. 10 str. 37—62) i *Aera*: Mickiewicz w Odessie twórczość jego z tego czasu w Ateneum (zesz. 10, str. 69—107).

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— „Wisła“ album dla powodzian, ukaże się lada dzień. Część artystyczna jest wysokiej wartości. Rysunki Matejki, hiszpana Los Rios, pochwalskiego, Pruszkowskiego, Stachiewicza i Lisiewicza, któreśmy widzieli, mogą ozdobić najpiękniejsze wydawnictwo.

— Na krak. wystawie Sztuk Pięknych zachwyca widzów „Mojżesz“ *Merwarta.*

— Szkice, studja i niedokończone obrazy *Hipolita Lipińskiego* są do sprzedania w kancelarji krak. Tow. Sztuk Pięknych.

— P. *Strażyński* kończy swój sporych rozmiarów i zalet obraz „Walgierz Wdały.“

— *Gounod* pracuje obecnie nad nową operą, do której libretto wziął z poematu Lamartina „Jocelin“.

— *Żeleński* ukończył partycyą Konrada Walenroda, a teatr lwowski ma właśnie tę operę w obecnym sezonie wystawić.

— Ostatnia kompozycja *Flotowa* p. t. „Ciemny muzykant“, z poezyą *J. Leopolda Mohra*, została przez wdowę po nieboszczyku wydaną. Temat jej zdaje się wskazywać na owo wielkie cierpienie ócz, które starego mistrza ku schyłkowi życia dręczyło.

— „Halka“ prześliczna opera *Moniuszki*, przetłumaczona na język niemiecki, przedstawioną została po raz pierwszy w teatrze Wiktoryi w Poznaniu i doznała przychylnego przyjęcia.

— *Liszt Franc.* skomponował węgierski hymn królewski do tekstu węgierskiego.

— Pomnik ś. p. *Henryka Schmitta*, roboty artysty-rzeźbiarza p. *Błotnickiego*, jak donosi Dziennik polski jest już ukończony i stanie w kościele OO. Dominikanów w kaplicy Panny Maryi Jackowej po lewej stronie u wejścia. Uroczystość odsłonięcia pomnika ma nastąpić niebawem.

— Jeden z dzienników berlińskich pisząc o „Hołdzie pruskim“ *Matejki*; znajdującym się na wystawie w Berlinie, przyznaje mu pierwszeństwo. Chwali poprawność rysunku, znakomitą charakterystykę i potęgę kolorytu i stawia Matejkę, jako malarza historycznego, wyżej niż Mackarta.

— Twórca „Powrotu z Golgoty“, artysta-malarz *Krudowski*, przebywający obecnie w Rzymie, wykończył „Głowę Chrystusa“. Obraz ten, posiadający wielkie artystyczne zalety, zakupiony został przez p. E. Simmlera i znajduje się w Warszawie.

— Nowy obraz ulubionego niemieckiego malarza *Franciszka Defreggera* p. t. „Urlopnik (der Urlauber) budzi wielkie podziwienie na wystawie w Wiedniu, jako skończony pod względem artystycznym.

— Tygodnik powszechny zamieszcza w numerze 39 odbicie z pięknego plafonu *W. Gersona* p. t. Jutrzenka, znajdującego się w domu p. Schlenkera w Warszawie.

— Na scenie „Teatru nowego“ w Warszawie wznowioną została zapomniana, a jednak doskonała jednoaktówka *J. Korzeniowskiego* p. t. „Przyjaciółki.“

— Scena krakowska przygotowuje przedstawienie „Chaty za wsią,“ w przerobieniu p. *Mellerowej* i *Galasiewicza.*

— Na scenie „Teatru Rozmaitości“ w Warszawie występuje gościnnie p. *Antonina Hoffmanowa.*

— Kierownictwo artystyczne teatru polskiego w Poznaniu tamteczny komitet teatralny powierzył na rok przyszły znanemu aktorowi p. *Ludwikowi Siedleckiemu.*

— We Lwowie rada miasta zajmuje się gorąco łącznie z Wydziałem krajowym, myślą budowy teatru letniego, którego brak czuć się daje dotkliwie. Koszta budowy wynoszą 150 do 200 tysięcy guldenów.

— Międzynarodowy kongres muzyków ma przyjść do skutku podczas wystawy w Antwerpii w roku przyszłym, na który będą rozesłane zaprofzenia do znanych mistrzów w muzyce, dyrektorów konserwatoryum i prosesorów, krytyków itp. wszystkich narodów.

Zmarli:

— Dnia 3 września w Wilnie zmarł *Paweł Kukolnik*, przeżywszy lat 90. Był to przedostatni już z garstki professorów byłej wszechnicy wileńskiej, a później cenzor wileński.

— *Jan Strutyński*, filolog, autor wybornego przekładu „Ajaksa“ Sofoklesa i kilku rozpraw historyczno-literackich zmarł we Lwowie dnia 14 września b. r. na chorobę piersiową.

— *Bernard Kalicki*, lwowski historyk, uczeń Szajnochy zmarł dnia 21 września b. r. Napisał: „Dzieje polskie do czytania w chatach i szkołach wiejskich,“ wiele rozpraw i szkiców historycznych, oraz obszerny życiorys swego nauczyciela K. Szajnochy.

— *Hans Mackart*, jeden z najznakomitszych tegoczesnych kolorystów, autor „Wjazdu Karola V, do Antwerpii“ i „Polowania Diany“, zmarł w Wiedniu 5 października b. r.

— *Jerzy Sporer* dr. medycyny a zarazem dramaturg i powieściopisarz, zwany Nestorem literatów chorwackich, zmarł w wieku lat 90. Nieboszczyk był wybitną postacią obok Ludwika Gaja w historji odrodzenia się Chorwacyi.

Do tego Nru dołącza się 5-ty i 6-ty arkusz „Polskich pań i dziewic.“